



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

11
2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 10

KENIA

WIELKI SPEKTAKL NATURY

str. 78

SZWAJCARIA

ZURYCH NA ZĄB

str. 56

WŁOCHY

FRIULI – SZAFKA PEŁNA CUDÓW

Austria

INNSBRUCK PACHNĄCY CYNAMONEM

str. 20

UZBEKISTAN STR. 70

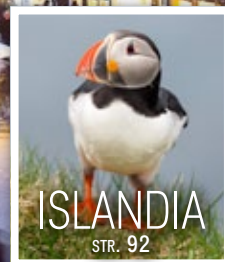
NA JEDWABNYM SZLAKU

USA STR. 28

SAMOTNY KOWBOJ

POLSKA STR. 36

WARSZAWA ŚLADAMI
MARII SKŁODOWSKIEJ



ISLANDIA
STR. 92

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614704 11

JARMARK BOŻONARODZENIOWY NA MARKTPLATZ
WWW.INNSBRUCK.INFO
#MYINNSBRUCK

**INNS'
BRUCK**

unlimited

BOŻE NARODZENIE W GÓRACH



Foto: innsbruck tourism / jovanovic

Adwent i Boże Narodzenie

Ten najpiękniejszy okres w roku jest w Innsbrucku zapewne piękniejszy niż gdzie indziej.

Informacja: www.innsbruck.info, Telefon +43 512 / 53 56, info@innsbruck.info



KENIA str. 10



BRUNEI str. 84



USA str. 28



FILIPINY str. 46



WŁOCHY str. 56

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

KENIA str. 10
Wielka migracja zwierząt
to niezwykle spektakl
wyreżyserowany
przez naturę.
Elżbieta Pawełek

AUSTRIA str. 20
Innsbruck
pachnący cynamonem.
Izabela Gartner

USA str. 28
Monument Valley oferuje
spektakularne widoki znane
ze słynnych westernów.
Jerzy Nowiński

POLSKA str. 36
Warszawa śladami Marii
Skłodowskiej-Curie
z okazji 150. rocznicy
urodzin noblistki.
Mieczysław T. Starkowski

GEOSKOP str. 42

FILIPINY str. 46
Walki kogutów to krwawy
rytuał i przemysł wart
ogromne pieniądze.
Tomasz Owsiany

PODRÓŻNOŚCI str. 54
Śpieszmy się kochać kioski.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

WŁOCHY str. 56
Cividale del Friuli,
jedenastotysięczne
miasteczko nad rzeką
Natisone, jest jak szafa
pełna skarbów.
Agnieszka Jankowska

NAVIGATOR str. 64

UZBEKISTAN str. 70
Taszkent, starożytne
miasto kupieckie Azji
Środkowej, swój rozwój
zawdzięczało położeniu
na Jedwabnym Szlaku.
Agnieszka Mikulec

MIKROWYPRAWY str. 76
Kąpiel w lesie.
Felieton Łukasza
Długowskiego

SZWAJCARIA str. 78
Zurych to idealne miejsce
dla smakoszy.
Magdalena Żelazowska

BRUNEI str. 84
Z wizytą na
urodzinach sułtana.
Alicja Kubiak i Jan Kurzela

POLSKA NIEZNANA str. 90
Czas na Mazury.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

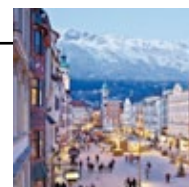
ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
ISLANDIA str. 92
Kraina żywiołów.
Michał Klima

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 102

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 104
Trzy garście ziemi.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
jarmark świąteczny
w Innsbrucku



Tomasz Owsiany

FILIPINY

Nylonowe fale

Rybak reperuje sieci w jednej z niewielkich wiosek na zachodzie wyspy Samar. Mężczyzna pochodzi z ludu Waray, zamieszkującego wschodnią część centralnego makroregionu Visayas. W wielu zakątkach Filipin rybacy są w stanie złowić ledwie jedną piątą tego, co ich ojcowie w latach 70. Na wschodzie Visayas za ten stan rzeczy odpowiadają szkodliwe praktyki rybaków (m.in. rozpylanie związków cyjanku pod wodą lub nielegalne połowy dynamitem). Wpływa na to również codzienne zaśmiecanie okolicznych wód przez przybrzeżną ludność, a także potężne tajfuny, które spustoszyły ten obszar w 2013 i 2014 r. i naruszyły wodny ekosystem. „Na pustym, betonowym boisku w głębi barangaju* jakiś mężczyzna w skupieniu cerował pod wiatą sieci. Spływały mu od kolan nylonowymi kłębkami”. Tomasz Owsiany, „Pod ciemną skórą Filipin”, wyd. Muza.

* barangay – dzielnica, która może być też oddzielną wsią, podległą administracyjnie większemu nieodległemu ośrodkowi.

Rafał Kośnik

SYCYLIA

Podaruj mi trochę słońca

Okolice miasteczka Customaci ma wiele do zaoferowania. Warto zrobić trekking wokół góry Monte Cofano. Ta majestatyczna skała wzbudza jednocześnie zachwyt i respekt. Niecałe 700 m wysokości to niewiele, ale podejście po 300 m pionowej ściany jest bardzo trudne. W okolicy można podziwiać gigantyczne agawy, których kwiatostany osiągną kilka metrów, bugenwille z jaskraworóżowymi liśćmi oraz wiele ciekawych porostów. Warto zajrzeć do groty Mangiapane, gdzie można się schłodzić i zobaczyć muzeum z przedmiotami, które służyły okolicznym rolnikom. Przy wejściu warto się pohuścić na huśtawce w cieniu figowców, a na koniec pełnego wrażeń dnia obserwować spektakularny zachód słońca.





Krzysztof Puternicki

MOZAMBIK

Mozaika mozambijska

Wybrzeże Mozambiku to ponad 2500 km piaszczystych plaż, z których przynajmniej przez kilka miesięcy w roku można przyglądać się niesamowitym wielorybom oraz pływać z rekinami wielorybimi, które upodobały sobie te wspaniałe ciepłe wody. Interior kraju to wspaniałe parki narodowe, wśród nich Gorongosa, gdzie populacja słońi czy lwów stale wzrasta po czterdziestoletniej wojnie domowej, która zakończyła się tu całkiem niedawno, bo w 2012 r.







Krzysztof Zaniewski

GÓRY FOGARSKIE, RUMUNIA

Nasi górą

Zawody 2x2 Race odbywają się w Górach Fogaraskich, najwyższym paśmie Karpat Południowych oraz całej Rumunii. Do wyboru są dwa dystanse: 45 km z przewyższeniami +4200 m oraz 18 km z 1800 m na plusie. Obydwie trasy prowadzą na wysokości ponad 2000 m n.p.m. w bardzo trudnym terenie, również po via ferratach. Organizatorzy ostrzegają przed wiatrem, gęstą mgłą, deszczem, a nawet śniegiem. W zawodach mogą wziąć udział jedynie doświadczeni zawodnicy. W Rumunii wystartowali członkowie zespołu biegowego Dare 2b. Paweł „Pigmej” Krawczyk zajął 5. miejsce na dystansie 45 km. Iwona Januszyk wybrała krótszy dystans. Zdeklasowała na nim rywalki. Na metę dotarła jako pierwsza kobieta z 52-minutową przewagą nad następną zawodniczką. Pobiła dotychczasowy rekord kobiety o 33 minuty. Co więcej, tylko pięciu panom pozwoliła się wyprzedzić – przybiegła jako szósta spośród wszystkich startujących.

@ Chrisactive

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.







PHOTO: SHUTTERSTOCK

Elżbieta Pawełek

WIELKI SPEKTAKL NATURY

Nie liczyłam, że zobaczę wielką migrację afrykańskich zwierząt. Nazywają ją siódmym cudem świata. Trzeba mieć jednak szczęście, by na nią trafić w kenijskim rezerwacie Masai Mara. I żelazne nerwy, gdy stada antylop gnu i zebr próbują przedrzeć się przez rzekę pełną krokodyli... Bez cienia przesady – to najbardziej niezwykły spektakl reżyserowany przez samą naturę.

Afryka jest mistyczna, dzika i piekielnie upalna. Jest rajem dla fotografujących i myśliwych, krainą utopii dla eskapistów. Jest tym, czego pragniesz, wymyka się wszelkim interpretacjom” – pisała słynna pilotka Beryl Markham, miłośniczka Kenii. Ale dla pasjonatów nieskażonej natury liczą się przede wszystkim dwa miejsca: Masai Mara w Kenii i Serengeti w Tanzanii. To tutaj odbywa się wielka migracja zwierząt. Nie sądziłam, że kiedykolwiek tu dotrę i będę podziwiać bezkres spalonej słońcem sawanny ozdobionej

parasolkami akacji, po której przemykają tabuny dzikich zwierząt. Że uda mi się „upolować” kamerą geparda czy lwa w akcie miłosnym z młodą lwicą, nie wspominając o sympatycznych, choć groźnych hipopotamach...

Co roku półtora miliona antylop gnu w towarzystwie dwustu tysięcy zebr i pięciuset tysięcy gazeli Thomsona wyrusza szlakiem sezonowych opadów w poszukiwaniu świeżych pastwisk. Przemierzają setki kilometrów, wzbijają gęste tumany kurzu. Odgłosy ich beczenia i swoisty zapach przyciągają krwiożercze drapieżniki. Mimo śmiertelnego

MASAI MARA

To bezkresna sawanna i jeden z najpiękniejszych rezerwatów przyrody w Afryce, w którym zwierzęta żyją pod ścisłą ochroną.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. ELŻBIETA PAWELEK

zagrożenia nie przerywają swej wędrówki, która trwa już od tysięcy lat. To największa migracja ssaków lądowych na świecie. A niektórzy dodają, że najbardziej spektakularna na świecie.

NAD RZEKĄ KROKODYLI

Do rezerwatu Masai Mara dotarliśmy niewielkim samolotem linii Safarilink z Nairobi. Pilot nisko poszybował nad ziemią, dając popis niezwykłych umiejętności. Z lotu ptaka Kenia wyglądała jak wielobarwna paleta: brunatna, wypalona słońcem ziemia zlewała się z żółtą sawanną i soczystą zielenią wzgórz afrykańskich. Tu i tam antylopy gnu pracowicie wyskubywały resztki trawy, przemykały płochliwe impale, przypominające miniaturowe sarny. Ale największe emocje były dopiero przed nami.

Do Little Governors' Camp musieliśmy przepłynąć łódką przez rzekę Marę. Jej ciemne wody, w których czyhały krokodyle, nie zachęcały do kąpieli. Za to sam obóz myśliwski, położony na skarpie zacienionej drzewami, miał wszystko, co niezbędne do życia.

Przestronne namioty z łózkami typu *king size*, bojlera z gorącą wodą, bar dobrze zaopatrzonej w alkohol i gaszące pragnienie, lokalne piwo Tusker.

Dodatkową atrakcją stały się guzdzce luzno biegające po campie, gotowe zrobić sobie z nami *selfie* za smaczny kąsek z talerza. W sąsiednim zaś obozie, do którego przenieśliśmy

ADRENALINA NA DESER

Kiedy w rzece obok pływają się krokodyle, zwykły lunch potrafi dostarczyć niezwykłych emocji.



SPRINTERZY Z SAWANNY

Gepardy trudno spotkać podczas safari w Kenii. To najszybsze ssaki lądowe na ziemi, rozwijające prędkość 100 km/h.

FOT. KEVINY TOURIST BOARD



FOT. SHUTTERSTOCK

POSIŁEK NA POTEM

Lew atakuje swoją ofiarę od tyłu lub z boku i nigdy nie pożera jej na miejscu, tylko zaciąga do swojej kryjówki.

się po dwóch dniach, czekały nas kolejne niespodzianki – spacerujące nocą przez środek ośrodka... hipopotamy.

– *Pamiętajcie, że to dzika Afryka* – powiedział Joshua, nasz przewodnik, zawodowy tropiciel zwierząt. – *Jeśli chcecie zobaczyć wielką migrację afrykańskich zwierząt, trzymajcie się wytycznych. Inaczej będzie to ostatnia wyprawa w waszym życiu. Wiedział wszystko o zwierzętach i chętnie dzielił się z nami swoją wiedzą. – Pojedynczy barwół nie jest groźny, lecz w stadzie staje się agresywny, lepiej więc trzymać rozsądną odległość* – ostrzegal.

– *Stonie w Kenii są mniejsze niż w innych częściach Afryki i dość płochliwe, ale gdy w stadzie znajdują się małe, potrafią być agresywne. Lwy żyją najczęściej w małych stadach i najlepiej oglądać je z daleka. Pod żadnym pozorem bez pozwolenia nie opuszczajcie dżipów.*

Po takiej przedmowie opuściła nas odwaga. Do najbliższego sklepu było 150 km, do Nairobi – 260 km. A w rzece obok czaiły się paskudne krokodyle...

W POGONI ZA DESZCZEM

Pokusa obejrzenia wielkiej wędrówki zwierząt była jednak silniejsza od strachu. Dwa razy do roku na terenie rezerwatu Masai Mara odbywa się dramatyczny spektakl z udziałem dzikich zwierząt. Docierają tu wiosną, gnane instynktem przetrwania z sąsiedniej Serengeti w Tanzanii, by wraz z jesienią wyruszyć tam w drogę powrotną. Dokładne terminy i trasy



FOT. SHUTTERSTOCK

tego niezwykłego przemarszu nigdy nie są znane. Zależą od aury, opadów deszczu, a nie kaprysów zwierząt. Ale ich wielka wędrówka powtarza się jak mantra.

W porze suchej słońce wypala sawannę i pozbawia zwierzęta pokarmu. Muszą go szukać tam, gdzie jest mokro. Iść za deszczem. W czasie tej długiej wędrówki rodzi się czterysta tysięcy antylop i dziewięćdziesiąt tysięcy zebra, choć dla części z nich jest to ostatnia droga. W pochodzie suną lwy, szakale, gepardy, hieny... Wystarczy, że młode zebry zbliżą się do wodopoju bez ochrony stada lub słabsza, starsza gnu odstanie od reszty, i dramat gotowy.

Każdy w tej wielkiej wędrówce ma rozpiętą rolę i miejsce. Nic dziwnego, że nazywa się ją spektaklem. Za stadami antylop gnu mniejszymi grupami migrują zebry i bawoły afrykańskie. Za bawołami podążają nierozłącznie bąkojady, ptaki czyszczące ich skórę z pasożytów i sygnalizujące wszelkie zagrożenia. Widok tyłu zwierząt na otwartej przestrzeni zapiera dech w piersiach.

Każdy gatunek ma własne sposoby na znajdowanie pożywienia. Pręgowane antylopy gnu kierują się zapachem wilgotnej ziemi i mogą usłyszeć odgłosy burzy nawet z odległości 50 km. Kiedy zielona jeszcze do niedawna sawanna pustoszeje, nastaje

SKOK W MROK

Antylopy gnu podczas przeprawy przez rzekę Marę ryzykują życie, ale ten śmiertelnie groźny rytuał trwa od tysięcy lat.



CHWILA DLA REPORTERA

Na tę chwilę, kiedy słońce chowa się za horyzontem i okrywa złotą poświatą sawannę, czekają wszyscy miłośnicy pięknych zdjęć.



FOT. SHUTTERSTOCK

ciężki okres dla lwów, które nie mają szans upolować zwierzyny. Najbardziej dramatycznym aktem całej migracji jest przeprawa przez rzekę Marę, słynącą z nieprzyjaznych, wysokich brzegów. Doświadczaliśmy tego na własnej skórze – wspinaliśmy się na nie za każdym razem, gdy chcieliśmy się dostać do obozu. Wielotysięczne stada antylop gnu i zebr za każdym razem ściągają nad Marę z najodleglejszych zakątków sawanny, niektó-

MIŁOŚĆ DO GROBOWEJ DESKI

– *Antylopa gnu podporządkowuje się zawsze prawom stada, więc po stracie swojego dziecka szybko wraca do szeregu. A słabe i chore zwierzęta się pozostawia* – wtrącił nagle Joshua, przesywając wzrokiem sawannę. Po czym rozpędził naszego dżipa, bo wśród wysokich traw przemknął lampart. Może da się go dopaść znienacka, a Joshua umiał podejść zwierzęta.



FOT. ELŻBIETA PAWELEK

re skaczą w nurty rzeki na złamanie karku... Można odwrócić oczy, żeby nie widzieć tych desperackich aktów, ale częściej patrzy się na nie ze ściśniętym sercem. Sponad wzburzonej, brązowej wody wystają jedynie głowy zwierząt, usiłujących przedostać się na drugi brzeg. Podczas tej przeprawy część ginie, stając się łatwym łupem dla krokodyli, część tonie w nurtach rzeki. Ale zwierzęta prą naprzód i nie ustają w marszu, zanim nie dotrą na bezkresne równiny Serengeti.

Najpierw wypatrzył cztery małe lwiątko, potem lwa z czarną grzywą, który nieruchomo rozsiadł się na wzgórzu jak Sfinks. – *To simba, król wszystkich zwierząt. Jeszcze niedawno każdy Masaj musiał przed swoim ślubem zabić simbę, by wykazać się odwagą przed przyszłą żoną* – dodał. Przyłożył palec do ust, bo właśnie dostrzegł parę lwów. Samiec spał, ale samica dostrzegła i zalotnie trącała go łapą. W końcu się ruszył i przystąpił do kopulacji, w miłosnym uścisku wbił się kłami w szyję

WIELKA RODZINKA

W Masai Mara żyje około 3 tys. słoni, które grupują się w stada, dlatego najczęściej spotyka się całe ich rodziny.



EXODUS

Widok wędrujących antylop i zebra robi niesamowite wrażenie. To największa migracja ssaków lądowych na świecie.

partnerki. Jej ryk rozszedł się po sawannie. Cały akt trwał dwie minuty, po czym lew znów oddał się drzemce...

– Lwy nie są sobie wierne, w przeciwieństwie do płochliwych dikdików, najmniejszych antylop świata – wtrącił Joshua. – Od chwili, gdy połączą się w pary, są nierozłączne. To się nazywa miłość do grobowej deski. Kiedy jedno umiera, drugie też. Nie szuka kolejnego partnera, nie umie żyć samotnie.

Ruszyliśmy dalej i szukaliśmy odtąd sympatycznych dikdików. Nagle, jak spod ziemi,

wyrośli przed nami stado słońi z małymi. Majestatycznie przeszło obok naszego dżipa, nic sobie nie robiąc z naszej obecności.

ŚMIERĆ DAJE ŻYCIE

„Naraz ukazał się byk. Nawet w cieniu był czarny jak smoła i zalśnił, kiedy wypadł na słońce, a jego rogi, olbrzymie i ciemne, sterczały wysoko w górę, a potem wyginały się dwoma wielkimi łukami do tyłu, prawie dotykając grzbietu. Ten to był byk. Boże, co za byk”



FOR SHUTTERSTOCK

– piał w „Zielonych wzgórzach Afryki” Ernest Hemingway, miłośnik polowań.

Byk, którego Joshua wypatrzył, skubał trawę. Nie wyglądał nazbyt przyjaźnie. Groźny, ciemny łeb z rogami nie budził naszej sympatii. A jednak żał byłoby zabić... Dobrze się stało, że rząd Kenii zakazał polowań na dzikie zwierzęta, że nie zabija się ich dla przyjemności jak w czasach Hemingwaya.

Miało nie padać, ale ciężkie chmury przecaczały się nad naszymi głowami. Błyskawice raz po raz rozświetlały sawannę i strumienie



OPAL TRAVEL
BIURO PODRÓŻY

✿ WYPRAWY W KAMERALNYCH GRUPACH ✿ WYPRAWY SZYTE NA MIARĘ
PODRÓŻE DLA KONESERÓW ✿ WYPOCZYNEK ✿ INCENTIVE

www.opaltravel.pl

OPAL TRAVEL ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa, tel. (22) 636 93 99, (22) 636 94 32, +48 662 257 618

R E K L A M A

deszczu spłynęły po drodze. Byłoby to nawet romantyczne, gdyby nie fakt, że ugrzęźliśmy w błocie i za nic nie mogliśmy ruszyć. A wokół naszego dżipa zaczęły krążyć młode lwy. Na szczęście upatrzyły sobie inną ofiarę – samotną antylopę gnu, pozostawioną przez migrujące stado. – *Nie przekroczy ona już Mary, choć pewnie i tak stałaby się łupem drapieżnych krokodyli* – zauważył przewodnik. Ze ściśniętym sercem obserwowaliśmy lwy skradające się w jej stronę. Otoczyły ją ciasnym kołem, by w końcu dopaść. Zapadła grobowa cisza. A przecież to nic nowego w Afryce. Paradoksalnie, śmierć daje tu życie. Jedne zwierzęta konają z pragnienia, padają ofiarą drapieżników, by inne mogły przeżyć. Nic tego nie powstrzyma, tak jak nic nie zatrzyma ich wielkiego przemarszu. *This is Africa*. Piękna, fascynująca, dzika. ○



Elżbieta Pawelek

Dziennikarka, narciarka, żeglarka i podróżniczka. Pływała katamaranem na Karaibach, leciała balonem w Afryce, podglądała rekiny na Bora Bora.

Izabela Gartner

INNSBRUCK PACHNĄCY CYNAMONEM





CHOINKA SWAROVSKIEGO

Na środku placu Rynkowego stoi czternastometrowa choinka, zbudowana z tysięcy kryształków Swarovskiego. Zdobiąca jej szczyt gwiazda tworzy na rzece fantazyjne świetlne refleksy.

FOT. DANIEL JOJANOVIC

Wśród kamienic Starego Miasta stoją drewniane kramy. Powietrze przenika zapach karmelu i pieczonych kasztanów. Zimowy wieczór rozświetlają tysiące lampek. Spacerowicze pochylają się nad świątecznymi cackami, inni popijają grzane wino i chłoną adwentową atmosferę. Nagle spokój jarmarku zakłóca hałas, poszczekiwanie łańcuchów i narastający dźwięk krowich dzwonek. Po chwili wpada dzika wataha diabłów.

W dawnych czasach jedna z dróg handlowych wiodących alpejskimi przełęczami przechodziła przez Innsbruck. Konie i woły objuczone luksusowymi towarami dźwigały drogie sukna, południowe owoce i wina, a także rozmaite przyprawy korzenne. Na kupno cynamonu, wanilii, anyżu, imbiru czy goździków mogli sobie pozwolić jedynie ludzie z zasobną sakwą. Zbliżających się do miasta już z daleka oślepiał blask 2657 połączonych dachówek

zdobiących reprezentacyjny wykusznik na jednym z budynków. Każdy musiał koło niego przejechać. Tak witał przybyszów cesarz Maksymilian I, który nie zawsze mógł być obecny w swojej rezydencji. Pokazywał się więc zastępczo na płaskorzeźbach – na jednej ze swoimi dwiema żonami, na drugiej w otoczeniu doradcy i błazna. Nad balkonem połyskiwał w słońcu Złoty Daszek, który nie pozostawiał wątpliwości co do świetności monarchy. Oślepieni blaskiem złota kupcy, oddawali w duchu hołd cesarzowi.

Drugi cesarz Niemiec z rodu Habsburgów nie przypuszczał pewnie, że coś może kiedyś przyćmić tę glorię. A jednak! W okresie adwentu na głównej ulicy Starego Miasta, w otoczeniu gotycko-renesansowych kamienic, stoi dziś okazała choinka rozświetlona tysiącem lampek. Wokół niej skupiają się odświętnie przybrane i nastrojowo oświetlone stoiska. Wtopiony w ten adwentowy krajobraz Złoty Daszek nieco przygasa.

JARMARK POD ŻŁOTYM DASZKIEM

Od połowy listopada Innsbruck zaczyna pachnieć inaczej. Smakowicie. Woń pieczonych kasztanów miesza się z piernikowymi przyprawami. W powietrzu czuć zapach prażonych migdałów, pomarańczy, lukrowanych jabłek i waty cukrowej. Kiedy wdycham je z zamkniętymi oczami, przenoszę się do Bożego Narodzenia okresu dzieciństwa.

Jarmark adwentowy pod Złotym Daszkiem należy do najpiękniejszych w Alpach. Mieszkańcy miasta i przybysze ze wszystkich zakątków świata przechadzają się po nim w poszukiwaniu ciekawych ozdób bożonarodzeniowych i oryginalnych prezentów gwiazdkowych. Jarmark pozostaje wierny tradycji i oferuje jedynie rodzime produkty rękodzielnicze i rzemiosła artystycznego. Znajdziemy na nim ciepłe swetry, wełniane czapki i rękawiczki, produkty skórzane i z owczej skóry. Są też dobra delikatesowe, słodycze, dżemy, miody, octy i oliwa, a także słynne tyrolskie nalewki i destylaty. Jest również tradycyjny boczek.

Nie powiem, żeby nad całością unosiła się cisza. Na jarmark przychodzimy przecież, aby spędzić czas w miłym towarzystwie, przy kubku aromatycznego grzańca lub ponczu pomarańczowego. Do tego konieczne należy coś smacznego przegryźć. Polecam szczególnie *Tiroler Kiachln*, specjał z ciasta drożdżowego, wysmażany na głębokim tłuszczu. W smaku przypomina pączek, a kształtem – krążek z wgłębieniem w środku. Ponieważ ciasto jest delikatnie posolone, można

je zjeść na słodko lub na ostro. Środek jest wypełniany na przykład dżemem żurawinowym i posypany cukrem pudrem. W wersji wytrawnej *Tiroler Kiachln* jest podawany z gorącą kapustą kiszoną.

Po zapadnięciu zmroku na balkonie Złotego Daszku pojawiają się trębacz grający tradycyjne melodie adwentowe. Czasem muzycy dają koncert z wieży ratuszowej. Wówczas cały gwar ucicha, a tłum wsłuchuje się w nastrojowe dźwięki.

POD ŻŁOTYM DASZKIEM

Kiedy nad zabytkowymi kamienicami zapada zmrok, główna ulica Starego Miasta ze złotym wykuszem cesarza Maksymiliana I wypełnia się gwarem, smakowitymi zapachami i nastrojową atmosferą.



ADWENT JAK Z BAJKI

Uliczki Innsbrucku w okresie adwentu wyglądają jak sceneria jakiejś zimowej baśni. I to nie tylko przez morze barw i światełek, ale także przez pomysł zdobienia wykuszy, fasad i szczytów kamienic postaciami ze znanych bajek. Z jednej strony spogląda na mnie sporej wielkości Czerwony Kapturek, z innej mała pasterka podobna do Sierotki Marysi. Wśród wielu naturalnej wielkości postaci odkrywam też dzielnego Szewczyka i legendarnego Olbrzyma. W jednej z bocznych uliczek stoi przewoźna scena teatru wędrownego, gdzie są wystawiane teatrzyki dla dzieci oraz odbywają się koncerty.

GRZANIEC ADWENTOWY

Jarmark na Hungerburg, przy stacji kolejki zaprojektowanej przez Zahę Hadid. Widać stąd świątecznie oświetlone miasto, a ponad nim poszarpane szczyty Alp.

W poszukiwaniu atrakcji dla dzieci udaję się nad rzekę Inn. Na placu Rynkowym w pobliżu mostu, któremu miasto zawdzięcza swoją nazwę, odbywa się jarmark rodzinny. Wokół sięgającej blisko 15 m choinki Swarovskiego (zdobi ją 170 tys. kryształków i efektowna kryształowa gwiazda, oświetlone energooszczędnymi diodami) stoją kramy imitujące

tradycyjną tyrolską wioskę. W tle rysują się poszarpane grzbiety Alp.

Niejeden nie może się tu oprzeć pokusie przejażdżki karuzelą w stylu retro, nie mówiąc już o maluchach, które z rumianymi buziami wirują w kółko na rzeźbionych ręcznie konikach. Karuzela przypomina lukrowany torcik i nie dziwię się, że większość dzieci nie chce jej opuścić z własnej woli. Przekonuje je do tego obietnica jazdy na prawdziwym kucyku albo odwiedziny w teatrzyku lalkowym, a może też pieczenie kiełbasek i słuchanie opowieści gawędziarza przy ognisku.

NOWOCZEŚNIE I ŚWIATOWO

Pozostawiam Złoty Daszek za plecami i udaję się w kierunku szerokiego deptaku Maria-Theresien-Strasse. Przez chwilę miga w dali skocznia narciarska projektu Zahy Hadid, symbol nowoczesnego Innsbrucku. Kształtem przypomina stojącą kobrę. Przechodzę przez ulicę, po której kursuje stary, świątecznie



FOT. CHRISTOPH LACKNER

przystrojony czerwony tramwaj, i znajdują się w innym świecie.

Nie ma tu ciasno stłoczonych średnio-wiecznych kamieniczek, lecz okazałe reprezentacyjne pałacyki. Więcej tu przestrzeni – taki też jest jarmark odbywający się wokół kolumny św. Anny, bardziej otwarty na świat, o czym świadczą dekoracyjne drzewka ze szkła i kryształu oraz zagraniczne towary. Jest modna biżuteria, są śnieżne kule i międzynarodowe przysmaki. Jako jedyny w Innsbrucku, bazar ten jest czynny do święta Trzech Króli. W pobliżu działają nowoczesne centra handlowe, a kogo zasmuci fakt wczesnego zamykania budek (o 20.00), tego ucieszy wiadomość, że do późnych godzin nocnych działa w okolicy wiele barów i lokali.

Warto przejść ulicą do miejsca, w którym zamyka ją potężna Brama Triumfalna. Wzniesiono ją w 1765 r. na rozkaz cesarzowej Marii Teresy z okazji zaślubin jej syna Leopolda z hiszpańską infantką Marią Ludwiką. Traf chciał, że radosne święto zostało przyćmione przez smutne wydarzenie. Podczas trwających dwa tygodnie uroczystości ślubnych zmarł nieoczekiwanie ojciec pana młodego, małżonek Marii Teresy, Franciszek Stefan. To dlatego brama prezentuje się z jednej strony weselnie, a z drugiej żałobnie.

W poszukiwaniu ciszy udaję się na bazar adwentowy w dzielnicy Wilten. Tu faktycznie można odpocząć od przedświątecznej bieganiny, a przy tym rozgrzać się ekologicznym winem i pokrzepić nie tylko tyrolskimi przysmakami, ale i specjałami z Sardynii. To raptem pięć minut spacerkiem od Bramy Triumfalnej. Podobnie mały i nastrojowy jarmark leży po drugiej stronie rzeki, w St. Nikolaus, najstarszej dzielnicy miasta, gdzie wśród drewnianych kramików i otwartych palenisk przechadzają się szukające samotności pary. Ponadto – i to w Innsbrucku cenię najbardziej – w zaledwie dziesięć minut dotrzemy z gwarne centrum miasta w górskie zacisze.

Za centrum kongresowym znajduje się dolna stacja kolejki naziemnej, wjeżdżająca na Hungerburg. Odbywający się tam ponad dachami miasta rynek adwentowy darzy odwiedzających niebywałymi widokami i rześkim, alpejskim powietrzem zmieszany z aromatem przypraw. Jadąc kolejką, warto



obejrzeć dokładnie jej nowoczesne stacje. Zaha Hadid nadała im wygląd wylizanego słońcem lodowca.

Z PIEKŁA RODEM

6 grudnia do dzieci na jarmarkach adwentowych przychodzi św. Mikołaj, podobnie jak do dzieci w wielu innych zakątkach świata. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że nie przychodzi sam. A jego ponury towarzysz nie zna żartów! To *Krampus*, postać wyobrażająca diabła, w odzieniu z koziej skóry i w szkaradnej, rogatej masce. Kiedy poczciwy, stary św. Mikołaj obdarowuje najmłodszych

STRACH NA DUCHY

Olbrzymie, przypominające diabły postacie, przeraźliwie hałasujące krowimi dzwonicami, wypędzają podczas adwentu złe duchy zimy. To pradawna tradycja regionu.



NA NARTY POD DOMEM
Nordkette to ulubiony ośrodek narciarski mieszkańców Innsbrucku, lubiących szybko wyskoczyć na narty. Przejazd dwiema kolejkami ze śródmieścia na Seegrube (1900 m n.p.m.) zajmuje nie więcej niż 20 minut.

świętecznymi pierniczkami, *Krampus* swoim ogonem smaga łobuzów. Dużo przy tym śmiechu i wesołych zaczepek.

Moje pierwsze spotkanie z *Krampus*em miało miejsce ponad 20 lat temu. Oglądałam wystawy sklepowe na deptaku jednego z alpejskich miasteczek, kiedy usłyszałam nagle złowróżbny hałas. Inni przechodnie rozpierzchli się na boki, zostawiając mnie sam na sam z... diabłem. Postać przede mną miała ponad dwa metry wysokości, na twarzy olbrzymią drewnianą maskę z wyszczerzonymi kłami i rogami muflona. Sapała wściekle i śmierdziała capem.

Smagnięcie różgą po nogach poczułam dotkliwie. Teraz, kiedy oglądam biegi i parady tutejszych diabłów, wciąż towarzyszą mi mieszane uczucia. Całe szczęście, czasy się zmieniły i nie wolno im już biegać samopas. Organizują się w grupy zwane *Pass*, kultywujące dawne alpejskie tradycje, sięgające korzeniami czasów pogańskich.

Przebierańcy udający diabły mieli odstraszac dawniej złe duchy zimy. Dziś przygotowania do czarcich widowisk trwają przez wiele miesięcy. Młodzi mężczyźni rzeźbią własnoręcznie swoje maski i szyją futra z kozich skór.



FOT. ANDRÉ SCHÖNERR

Następnie ćwiczą choreografię występu. Każda impreza z ich udziałem jest zaplanowana i zapowiedziana. I zabezpieczona przez służby porządkowe. Znakiem bliskiego spotkania z diabłem nie są już pręgi na ciele, ale twarz wymazana sadzą.

ŚWIĘTA NA SPORTOWO

Innsbruck, dwukrotny gospodarz Zimowych Igrzysk Olimpijskich (1964 r., 1976 r.) i Młodzieżowych Igrzysk Olimpijskich w 2012 r., jest renomowanym alpejskim

regionem sportów zimowych. Dziewięć tutejszych ośrodków narciarskich występuje pod wspólną nazwą Olympia SkiWorld Innsbruck. Najszybciej, bo w 20 minut, dojrzymy z centrum miasta na Nordkette, gdzie czekają trasy zjazdowe o zróżnicowanym stopniu trudności. Zjazd z Hafelekar na Seegrube jest emocjonującym wyzwaniem dla sympatyków stylu wolnego. Zalicza się do najbardziej stromych w Europie, ma bowiem aż 70 proc. nachylenia.

Na południe od miasta leży góra Patscherkofel, gdzie trzykrotnie odbywały się zawody olimpijskie. Dostępna dla amatorów nart trasa igrzysk uchodzi za najtrudniejszą, pozostałe natomiast mają albo niewielki, albo średni stopień trudności. W bliskim sąsiedztwie, 12 km od stolicy landu, leży stacja Glugenzler z fantastycznym widokiem na dolinę rzeki Inn. Jej dumą jest najdłuższa (15 km) trasa zjazdowa w Tyrolu. Największą popularnością wśród rodzin z dziećmi cieszą się szerokie, słoneczne stoki stacji Muttereralp. Wspaniałe widoki na miasto Innsbruck towarzyszy narciarzom szusującym po łatwych i średnich trasach stacji Ragger Köpfl, zaledwie 15 minut samochodem od centrum miasta.

Starannie wyratowane stoki, doskonałe warunki śniegowe i naziemną kolej linową o przepustowości 12 tys. osób na godzinę oferuje Axamer Lizum. Najwyżej położony austriacki ośrodek narciarski Kühtai, gdzie odbywa się Puchar Świata w narciarstwie zjazdowym, gwarantuje śnieg do samej wiosny. I wreszcie ostatni z ośrodków – Schlick 2000 w Stubaital – to zimowy raj, gdzie można uprawiać wszystkie sporty zimowe, od tradycyjnych po ekstremalne.

Trasy saneczkowe, przetarte ślady do uprawiania biegów narciarskich, szlaki piesze i punkty paralotniarskie także zachęcają do urozmaicenia ferii zimowych. Na Stubai Gletscher, największym w Austrii ośrodku narciarskim na lodowcu, poszuszujemy od października do czerwca z widokiem na 109 trzytysięcznych szczytów i krainę wiecznego lodu.

Inauguracja sezonu zimowego odbywa się już w okresie adwentu. Narciarze mają więc wyjątkową okazję połączenia nart z odwiedzinami tutejszych niezwykłych jarmarków świątecznych. ○



Izabela Gartner

Z wykształcenia germanistka, z zawodu tłumaczka, z zamiłowania przewodniczka po najpiękniejszych zakątkach Austrii. Pasjonuje ją historia i kultura kraju, który przed laty stał się jej drugim domem. I ciągle odkrywa go na nowo.

Jerzy Nowiński

SAMOTNY KOWBOJ

„Daleko, na krawędzi prerii, czarny punkt odcina się na tle jasnego nieba. Już po sekundzie niewyraźna kropka zmienia się w sylwetkę jeźdźca, a po chwili mężczyzna i zwierzę przelatują przed naszymi twarzami. Nie zdążymy nawet mrugnąć, i niczym spóźniony fragment burzy, znikają za horyzontem” – tak przejazd kuriera Pony Express opisywał Mark Twain w książce „Pod gołym niebem”.



Jedną z pierwszych książek, którą przeczytałem, był „Winnetou” Karola Maya. 600 stron zamkniętych w twardej oprawie musiało ważyć tyle co mały ja, jednak dla zauroczonego Dzikim Zachodem szkraba nie stanowiło to przeszkody i do dziś pamiętam przygody dzielnych Apaczów, pazernych poszukiwaczy złota i bohaterskiego Old Shatterhanda.

BARDZO DZIKI ZACHÓD

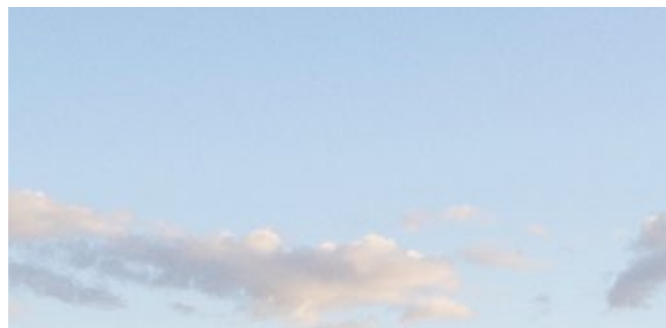
W tym miejscu zaczyna się przygoda – Indianin, mustangi i błyszczący w słońcu pick-up, czyli wszystko, co potrzebne do szczęścia.

Następny był Maurice De Bevere wraz z rysowanym przez niego „Lucky Lukiem”. Z wypiekami na twarzy zaczytywałem się w historiach o najszybszym kowboju Dzikiego Zachodu, który wraz ze swoim wiernym

wierzchowcem Jolly Jumperem łapał bandytów i ratował uciśnionych, by pod koniec dnia odjechać w kierunku zachodzącego słońca. Rewolwerowiec nucił piosenkę, a jego sylwetka odbijała się na tle pustynnej prerii i piaskowych skał ze ściętym czubkiem – ikonicznej panoramy Dzikiego Zachodu.

SZYBSZY OD WŁASNEGO CIENIA

Potem się zestarzałem. Karol May nie postawił stopy na zachodzie Stanów, Indianie zostali bezlitośnie zepchnięci do małych rezerwatów, a mustangi okazały się zdziczałymi końmi, które na początku XVI w. uciekły hiszpańskim konkwistadorom. Coś jednak pozostało. Wszyscy znamy *messes* czy *boots* (choć może nie zawsze pod tymi nazwami) – wysokie rude stoliwa o prawie pionowych ścianach i płaskich szczytach. Stoją samotnie pośród piasków prerii i przez lata były areną walk



Indian i rewolwerowców. Może zaskoczyć, że panorama znana z setek ilustracji, dziesiątek westernów to... jedna wielka ściema!

W rzeczywistości prawie wszystkie ikoniczne widoki Dzikiego Zachodu pochodzą z terenów małego parku leżącego na granicy stanów Arizona i Utah. Tsé Bii' Ndzisgaii, co w języku plemienia Navaho znaczy Dolina Skał, wchodzi w skład rezerwatu Indian, jednak pomimo nazwy nie jest prawdziwą doliną. Okazuje się, że za wygląd charakterystycznych, sięgających nawet 300 m piaskowców, odpowiada trwający tu od 50 mln lat proces wietrzenia, a nie płynąca w okolicy rzeka św. Jana (San Juan River).

Zaskakuje również, że choć klimat Monument Valley jest pustynny, w zimie możemy spodziewać się mrozu dochodzącego do -18°C , a czasami nawet i śniegu. Wszystko to za sprawą wysokości, na jakiej znajduje się wyżyna Kolorado, czyli ponad 1800 m n.p.m. Dlatego najlepszym momentem na wizytę

w parku jest późna wiosna bądź wczesna jesień, zwłaszcza jeśli chcemy ominąć letnie upały i wakacyjne tłumy turystów.

Do kultury masowej Dolina Skał wkroczyła za sprawą Johna Forda, który nakręcił tu swoje dwa najsłynniejsze westerny: „Poszukiwacze” i „Dyliżans”. Od tego czasu była

KRÓLEWSKI WIDOK

Monument Valley w ostatnich promieniach zachodzącego słońca wygląda po prostu świetnie. Z tej perspektywy można rozpoznać Króla na Tronie – czyli drugie stoliwo od prawej.





FOT. LERZY NOWIŃSKI



AMERYKAŃSKIE WAKACJE

Widok piękny, szkoda tylko, że psują go przejeżdżające co jakiś czas samochody. Prawdziwa zabawa zaczyna się parę kilometrów dalej, gdzie wstęp mają wyłącznie indiańskie mustangy.

ona sceną niezliczonych filmów, ilustracji i gier komputerowych, a teraz miała stać się miejscem, w którym spełnią się moje dziecięce marzenia. Może nie miałem szans na odkrycie prawdziwego Dzikiego Zachodu, ale przynajmniej mogłem wejść w skórę najszybszego rewolwerowca świata komiksu!

KASK KONTRA KAPELUSZ

Przygodę z parkiem rozpocząłem tak jak wszyscy przyjezdni, czyli od wizyty w centrum turystycznym. Już na pierwszy rzut oka widać, że to idealne miejsce na amerykańskie wakacje: duży parking, budynek z pamiątkami i restauracją. Czego chcieć więcej? Płacimy 20 dolarów, kupujemy kilka suvenirów, jemy obiad, wychodzimy z aparatem na punkt widokowy i ruszamy w dalszą trasę. W ostateczności możemy zapisać się jeszcze na samochodową wycieczkę, podczas której będziemy wożeni po okolicy przez lokalnego przewodnika. No i tyle...

Jednak nie ze mną takie numery! Przyjechałem tu po Dzikie Zachód pełen Indian i kowbojów, a nie znudzonych turystów.



FOT. LERZY NOWIŃSKI

– *Jeździłeś już kiedyś na koniu?*

– *Jak miałem 6 lat – odpowiedziałem dość niepewnie.*

– *To świetnie, tylko pamiętaj, żeby przy podjeżdżaniu pod górę wychylać się do przodu, a przy schodzeniu do tyłu.* – Stojący przede mną Indianin z plemienia Navaho najwyraźniej uznał, że pora zakończyć moje kawaleryjskie szkolenie: – *Wszystko jasne? Super, musisz podpisać jeszcze te dokumenty.*

Szybko przeglądałam zawartość podanej kartki A4. Mógłbym ją zacytować, ale zasadniczo cała treść sprowadzała się do jednego zdania: „oświadczam, że w trakcie jazdy konnej z pewnością umrę i nie będę za to nikogo obwiniać”. – *Podpisałeś, świetnie. Teraz musisz cię zapytać, czy dla bezpieczeństwa chcesz założyć kask?*

Poprawiam kowbojski kapelusz, podciągam rękawy uszykowanej na tę okazję koszuli. Bezpieczeństwo? Phi, przecież na Dzikim Zachodzie rewolwerowcy nie nosili plastikowych czapek!

PŁONĄCE SIODŁA

Dochodzę do wniosku, że marzenia się spełniają. Dosiadam karego rumaka, wokoło mnie rozciągają się połacie pustynnej prerii, daleko na horyzoncie równinę przecina krawędź płaskowyżu, a po prawej wysoko wznoszą się skały Monument Valley. Niebieskie niebo, białe puszyste chmury i rudy piasek doliny tworzą obłędną kombinację, od której ciężko oderwać wzrok. Do tego zewsząd otacza

MEANDRY ŚWIĘTEGO JANA

Po przejażdżce należy pomyśleć o noclegu, na przykład na kempingu w parku stanowym Goosenecks, tylko 22 mile od Doliny Pomników. Poranek z widokiem na wijącą się rzekę św. Jana to coś niesamowitego.

NIE BIEGNIJ, FORREST!

Warto się tutaj zatrzymać i na spokojnie popodziwiać piękny horyzont Monument Valley. Nic dziwnego, że to właśnie w tym miejscu Forrest Gump zakończył swój bieg.

mnie przestrzeń. Pustka, w której jedynym świadectwem cywilizacji jestem ja i jadący na prawdziwym mustangu Indianin. Żadnych samochodów, turystów czy drutów wysokiego napięcia, tylko wąska ścieżka biegnąca zygzakami raz w górę, raz w dół, wzdłuż kilkumetrowego spadku, który w naturalny sposób wyznacza krawędź parku. Jednym zdaniem – czuję się jak bohater sceny wyjętej żywcem z westernów Johna Forda.

Mój przewodnik opisuje mijane przez nas skały. Pod wpływem jego słów czerwone, nasycone tlenkiem żelaza piaskowce zdają się ożywać. W ich kształtach dostrzegam: Dylizans, Króla na Tronie oraz Niedźwiedzia i Królika. Z tej perspektywy stoliwa wyglądają zupełnie inaczej niż na wszystkich ilustracjach. Wysookie, wręcz monumentalne osłaniają nas od natarczywego słońca, a w miarę jak się zbliżamy, muszą coraz mocniej zadzierać głowę, żeby choć częściowo objąć je wzrokiem.

– *Ile czasu potrzeba, żeby wyszkolić konia do takiej jazdy?* – przerywam otaczającą nas ciszę.

– *Dość długo, bo około 10 lat. Musimy zacząć od źrebaka i powoli przyzwyczajając go do trasy i obcych. Dzięki temu nawet gdyby mnie zabrakło, wystarczy, że dasz się prowadzić, i twój rumak sam trafi do stajni.*

– *Czyli można powiedzieć, że wszystkie wasze mustangi mają nawigację satelitarną?*

– *Dokładnie. Muszę powiedzieć o tym mojemu tacie. Będziemy mogli zwiększyć cenę za każdy przejazd – Indianin uśmiecha się od ucha do ucha, a ja z pewnym zdziwieniem uświadamiam sobie, że jego wierzchowiec nie ma siodła.*

– *Dlaczego jedziesz na oklep? Nie sprawia ci to problemu?*

– *Żadnego, przyzwyczaiłem się. Już od małego, kiedy nikt na nas nie patrzył, razem z kolegami przechodziliśmy przez ogrodzenie i wskakiwaliśmy na pasące się luzem konie.*



– *W sumie i tak jedziemy dość wolno* – odpowiadam mojemu przewodnikowi, a ten milknie, jakby się nad czymś zastanawiał.

– *To może chciałbyś odrobinę przyspieszyć?*

W mojej głowie rozpoczyna się walka rozsadku z dziecięcą ekscytacją. Z jednej strony to jest moja pierwsza prawdziwa przejażdżka na koniu, wszędzie wokół są kamienie, a ja zamiast kasku mam miękki kowbojski kapelusz. Z drugiej...

– *Tak, pewnie!*

Tego się nie spodziewałem. Tuż po tym, jak mój wierzchowiec ruszył w galop, świat oszalał. Bujający się na pasku aparat walnął mnie z impetem w bok, a ja rozpoznałem walkę o utrzymanie się w siodle (już po zakończeniu wycieczki okazało się, że przez cały czas było lekko przekrzywione). Nawet nie miałem czasu zastanowić się nad własną głupotą, tylko z szerokim uśmiechem pędziłem po Monument Valley!

I'M A LONG, LONG WAY FROM HOME

Przejażdżka zbliżała się ku końcowi. Grzejące nas do tej pory słońce skryło się za Punktem Johna Forda (naturalną platformą, z której John Wayne obserwował obóz Indian w filmie „Poszukiwacze”) i powoli zaczęło robić się coraz chłodniej. Spokojnie masowałem lekko obolałe od uderzeń obiektywu zębra i rozkoszowałem się ostatnimi chwilami w Dolinie Skał. Niespodziewanie żółty blask uderzył mnie w oczy. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu, gdybym na miejsce przyjechał chwilę wcześniej, siedziałbym już w samochodzie, z kolei piętnaście minut później byłoby za ciemno, aby...

Poprawiłem rondo kapelusza i gwizdząc „I'm a poor lonesome cowboy”, odjechałem spod Monument Valley w kierunku zachodzącego słońca... ◯



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. W trakcie wypraw szuka przygód i miejsc, które pozwalają lepiej zrozumieć świat i poznać jego piękno. Obecnie pracuje nad książką o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.



FOT. JERZY NOWIŃSKI



URODZIŁA SIĘ W WARSZAWIE

Mieczysław T. Starkowski

Najbardziej znana kobieta naukowiec w historii. Jedyna dwukrotna laureatka Nagrody Nobla. Według wielu rankingów zajmuje najwyższą pozycję na liście uczonych, którzy zmienili świat. Nasza rodaczka, a przecież nie wiemy o niej zbyt dużo.

Wyberzmy się zatem na spacer szlakiem Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. Zwłaszcza że pretekstów w tym roku jest mnóstwo: 150. rocznica urodzin, 85. rocznica otwarcia Instytutu Radowego w Warszawie, 50. rocznica utworzenia w stolicy muzeum poświęconego wielkiej uczonemu – to tylko najważniejsze. Można tę trasę potraktować jako swoistą ścieżkę edukacyjną, lecz także szerzej – jako wyprawę po szalenie ciekawej części stolicy. W okolicy jest wiele obiektów



kamienicy 7 listopada 1867 r. przyszła na świat Maria – piąte, najmłodsze dziecko państwa Bronisławy i Władysława Skłodowskich. Obecnie mieści się tam wspomniane muzeum. Przy wejściu wita nas drzewo genealogiczne rodu Skłodowskich. Zgromadzono też książki i inne przedmioty należące do członków rodziny. Są również naczynia i przyrządy służące do doświadczeń chemicznych – wyjaśnia dr Joanna Gawrońska z muzeum.

Uwagę zwiedzających zwraca laboratorium zaprojektowane na podstawie paryskiego pierwowzoru. To słynna drewniana szopa, w której uczona pracowała wraz z mężem Piotrem Curie. Można podziwiać liczne szklane naczynia, a także inny sprzęt laboratoryjny.

Najciekawsza jest gablota mieszcząca przedmioty osobiste należące do Marii. Przede wszystkim skórzana torebka, którą w 1929 r. otrzymała od Polek mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Były w niej pieniądze zebrane przez Polonię na budowę Instytutu Radowego w Warszawie. Odebrała je na miejscu, w Waszyngtonie, a przy okazji otrzymała od Herberta Hoovera, prezydenta USA, dwie figurki słoników (jedna jest prezentowana w muzeum). Jest też kryształowy kałamarz na marmurowej podstawie oraz etui na okulary. W ostatniej sali warto też przyjrzeć się płaszczycowi z czarnej żorżety, który uczona nosiła w czasie pobytu w Warszawie w 1932 r. Zdecydowaną większość zbiorów stanowią zdjęcia, dokumenty, a także inne przedmioty (medale, znaczki pocztowe ze świata) upamiętniające noblistkę.

Ulicą Freta i przez rynek Nowego Miasta dochodzimy do kościoła Nawiedzenia

atrakcyjnych dla każdego turysty: od średniowiecza po współczesność.

Maria została wychowana w duchu patriotyzmu. Większość życia mieszkała za granicą, ale nigdy nie zapomniła o swej pierwszej ojczyźnie. W wielu wystąpieniach podkreślała: „Urodziłam się w Warszawie”.

SZARE WODY WISŁY

Fascynujący spacer zaczynamy na Nowym Mieście, przy ul. Freta 16. W tej



FRETA 16

Dom, w którym przyszła na świat Maria Skłodowska-Curie. Dziś mieści się tam muzeum jej imienia.

Najświętszej Marii Panny przy ul. Przyrynek 2. Jest to kościół gotycki (z 1411 r.), jeden z najstarszych w stolicy. Dziewczynka została tam ochrzczona, podobnie jak wszystkie dzieci w tej rodzinie. Świątynia jest usytuowana na skarpie, z której rozciąga się piękny widok na praski brzeg Wisły. Wiele lat później, w liście do córki Ewy, Maria powoływała się na starą piosenkę: „Kto raz zobaczy szare wody Wisły, pokocha je i nie zapomni aż do śmierci”. I dodawała: „Co do mnie, te słowa są jak najbardziej prawdziwe”. Utkwiły jej w pamięci między innymi jabłka, które z ciotką kupowały nad rzeką. Obecnie u podnóża skarpy znajduje się Multimedialny Park Fontann, a od trzech lat obok kościoła stoi pomnik uczoniej.

– *Nie zachował się oryginał aktu chrztu* – wyjaśnia Małgorzata Sobieszczak-Marciniak, prezes Towarzystwa Marii Skłodowskiej-Curie w Hołdzie, przez wiele lat kustosz

i dyrektor muzeum. Natomiast fotografię tego dokumentu można oglądać w sali edukacyjnej Instytutu Radowego.

W swej autobiografii Maria wspomina ten kościół jako miejsce, do którego wielokrotnie przychodziła z mamą lub ciotką. Nawet jako osoba dorosła pamiętała półmrok i atmosferę tajemniczości. To właśnie tam dziewczynka wykazywała się ogromną żarliwością w wierze. Modliła się o zdrowie chorej siostry Zosi, a potem mamy. A jeśli już jest konieczna ofiara, niech Pan Bóg zabierze jej życie. Stało się jednak inaczej, umarła młodziutka siostra, a dwa lata później mama. W rezultacie mała Maria zaczęła odchodzić od Kościoła.

SZKIEŁKO I OKO

Skierowało ją to ku racjonalizmowi oraz ku naukom ścisłym. Niewątpliwie ogromny



wpływ miał na nią ojciec, który był agnostykiem. Szkiełko i oko zamiast czucia i wiary. Tę postawę Marii ugruntował jej wyjazd do laickiej Francji, a zwłaszcza małżeństwo z Piotrem Curie, synem komunarda.

Tą samą drogą wracamy na ul. Freta 10, do barokowego kościoła Dominikanów pod wezwaniem św. Jacka, gdzie Maria przystąpiła do pierwszej komunii świętej. – *Niestety, dokumenty z tamtych czasów nie przetrwały* – opowiada ojciec Mirosław Sander OP. Klasztor został całkowicie zniszczony w czasie II wojny światowej.

Przez Barbakan, ul. Nowomiejską, Rynek Starego Miasta i ul. Świętojańską (mijamy bazylikę archikatedralną pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciciela), dochodzimy do Zamku Królewskiego. W 1932 r. uczoną podejmował tam herbatą prezydent Ignacy Mościcki, również chemik z wykształcenia. Zaproszenie można zobaczyć w muzeum.

Parę kroków dalej, obok kościoła akademickiego pw. św. Anny przy ul. Krakowskie Przedmieście 66 znajduje się Centralna Biblioteka Rolnicza im. Michała Oczapowskiego.

W XIX w., w ówczesnym Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, były tam dwie pracownie: chemiczna i fizyczna. Szefem jednej był profesor Napoleon Milicer, a drugiej – Jerzy Boguski, kuzyn Marii (w przeszłości asystent Dymitra Mendelejewa). Dzięki niemu ciekawa świata dziewczyna uzyskała możliwość prowadzenia doświadczeń, choć tylko w soboty i niedziele.

Warto przejść pod arkadami, by w podwórku rzucić okiem na dawne laboratorium. Niestety, nie zachowało się ono do dzisiaj. Obecnie jest tam hotel CBR. Na ostatnim piętrze, drugie okno od prawej. Był to zresztą jedyny czas, kiedy Maria intensywnie uczyła się chemii. Do dzisiaj złośliwi podkreślają,

że później – w Paryżu – studiowała nauki przyrodnicze. Była zatem chemicznym samoukiem, a nawet „nieukiem”. Ale nadrabiała talentem, determinacją i pracowitością.

Po wielu latach ona sama powie: „Gdyby mnie w Warszawie dobrze nie nauczyli analizy profesor Napoleon Milicer i jego asystent doktor Kossakowski, nie wydzieliłabym radu”. Czy można usłyszeć większą pochwałę z ust dwukrotnej noblistki?

Muzeum Przemysłu i Rolnictwa sąsiadowało z Resursą Obywatelską (obecnie Dom Polonii Stowarzyszenia Wspólnota Polska przy Krakowskim Przedmieściu 64). W czasie wizyty w Warszawie w 1925 r. Maria spotkała się tam z polskimi naukowcami.

MÓWIĆ O CHEMII

Po opuszczeniu ziem polskich w listopadzie 1891 r. uczona wracała do Warszawy czterokrotnie: w 1913, 1921, 1925 i 1932 r. Te wizyty były wypełnione przede wszystkim uroczystościami na jej cześć. Ale ona sama nie przepadała za wielkimi publicznymi zgromadzeniami. Zdecydowanie nie była celebrytką. Poza tym nie lubiła rozmawiać „o niczym”. Wolała konkretnie, zwłaszcza o nauce.

Gdy przybywała do Warszawy, musiała jednak podporządkować się planom gospodarzy.

PAMIĄTKI MARII

W muzeum warto zwrócić uwagę na płaszczyk z czarnej zorzęty, który uczona nosiła w czasie pobytu w Warszawie w 1932 r.



Jego otwarcie w 1932 r. było wielkim wydarzeniem. Do dzisiaj leczy się w nim chorych na raka.



CEGIELKA WIELKIEJ WAGI

Instytut Radowy powstał między innymi ze składek społecznych. Kupując takie cegielki, Polacy niezwykle hojnie wsparli jego budowę.



Miejscami takich spotkań były również znajdujące się przy Krakowskim Przedmieściu eleganckie hotele Europejski i Bristol. Między innymi w tym pierwszym Polki zorganizowały spotkanie z noblistką podczas jej pobytu w stolicy w 1913 r. „W imieniu zapraszających przemówiła pisarka Maria Rodziewiczówna. Wysłuchano kilku utworów Chopina i pieśni w wykonaniu kwartetu żeńskiego Lutnia”, donosiła prasa. Rauty odbywały się też w pałacu Jabłonowskich przy ul. Senatorskiej 14/16 (wtedy ratusz, gdzie w 1925 r.

Maria otrzymała honorowe obywatelstwo Warszawy, teraz – biura jednego z banków), a także pałacu Mniszchów przy tej samej ulicy pod numerem 34/40 (wówczas

siedziba Nowej Resursy Kupieckiej, obecnie ambasada Belgii).

O niechęci Marii do tej bankietowej pompy świadczy takie oto zdarzenie. W czasie wspomnianego rautu w hotelu Europejskim w 1913 r. Helena Skłodowska zauważyła, że jej siostra nie zwraca uwagi na występy, tylko coś pisze. A po pewnym czasie jej twarz promieniuje szczęściem. Później Helena zapytała: – *Co tak skrzętnie notowałeś?* – *Rozwiązywałam bardzo trudne zadanie matematyczne. Jestem taka dumna, bo mi się udało!* – odparła niezwykle zadowolona Maria.

Oczywiście nie obyło się też bez uroczystych spotkań w gronie naukowców. Miały one miejsce na Uniwersytecie Warszawskim, w Pałacu Staszica (wówczas siedziba Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, obecnie – Polskiej Akademii Nauk) oraz na Politechnice Warszawskiej. W gmachu Wydziału Chemii PW przy ul. Noakowskiego 3 znajduje się pomnik uczonej, a obecnie jedna z sal w Pałacu Staszica nosi imię Marii Skłodowskiej-Curie.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY NA WIELKIE ŚWIĘTO TURYSTYKI

Na marginesie, już w 1921 r. Senat UW zaproponował uczonemu objęcie Katedry Fizyki Eksperymentalnej. Maria odmówiła ze względu na piastowane kierownicze stanowisko w Instytucie Radowym w Paryżu (nie licząc wykładów na Sorbonie i wielu innych funkcji). Nie uległa nawet namowom Henryka Sienkiewicza działającego w Komitecie Powrotu Wielkiej Polki do Ojczyzny. Natomiast w 1919 r. otrzymała doktorat honoris causa UW, a po 7 latach – PW.

WIELKI PROJEKT

Swoje przywiązanie do ojczyzny Maria wyraziła w sposób piękny, godny naśladowania. W 1913 r. doprowadziła do utworzenia Pracowni Radiologicznej przy ul. Kaliksta 8 (obecnie Śniadeckich 8). Na budynku znajduje się pamiątkowa tablica.

Dwanaście lat później położyła kamień węgielny pod budowę – wzorowanego na paryskim – Instytutu Radowego przy ul. Wawelskiej 15 w Warszawie. Po siedmiu latach, 29 maja, uroczyste zainaugurowała jego działalność (części szpitalnej). W parku przylegającym do Instytutu posadziła klon jawor. Od kilku lat ma on status pomnika przyrody. Obok jest krótka ścieżka edukacyjna, a po drugiej stronie ulicy – obecnie Marii Skłodowskiej-Curie – znajduje się odlany z brązu pomnik uczonemu. Część naukowa Instytutu została otwarta dwa lata później. Całość powstała ze składek społecznych. Kosztowała 2,2 mln zł.

Uczona współtworzyła Instytut, projektowała wnętrze. Ofiarowała też gram radu, który był jej własnością. Bez niego placówka nie mogłaby funkcjonować. Poza tym zbierała pieniądze na jej wyposażenie, m.in. w Stanach Zjednoczonych. W ten sposób odwdzięczała się swojemu krajowi i miastu, w którym się urodziła. Jako wizjonerka mówiła o konieczności utworzenia sieci takich jednostek w całej Polsce. Trudno zatem przecenić historyczne znaczenie tego miejsca.

Instytut działa do dzisiaj jako Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie. Można tam zwiedzać wspomnianą salę edukacyjną im. Bronisławy Dłuskiej (siostry uczonemu), izbę pamięci uczonemu. Warto jednak umówić się wcześniej telefonicznie w biurze

KRAJ PARTNERSKI:
Polska

25.
Jubileuszowe
Międzynarodowe
Targi Turystyczne
TT WARSAW

23-25 listopada 2017
PAŁAC KULTURY I NAUKI, WARSZAWA

Zapisz się na targi:
www.mttargionline.pl/ttwarsaw2017

Organizator: **Mtargi** 25 lat **1992-2017**
tel.: +48 22 529 39 18 / 47 / 86 | e-mail: ttwarsaw@mttargi.pl
www.ttwarsaw.pl

R E K L A M A

Towarzystwa Marii Skłodowskiej-Curie w Hołdzie. Nie ma tam wielu fizycznych przedmiotów, bowiem ogromne zbiory spłonęły w czasie wojny. Jest jednak sporo interesujących zdjęć, a panie również opowiadają o Marii z pasją.

Instytut jest żywym pomnikiem uczonemu. Od początku – w odróżnieniu od paryskiego pierwowzoru – funkcjonuje jako szpital. Choć wówczas, 85 lat temu, to były początki walki z rakiem. Ludzie nie mieli zaufania do nowych metod terapii. Jednak w pierwszym roku w przychodni zapisało się 950 osób, 415 przyjęto jako pacjentów. Od tego czasu placówka prowadzi działalność naukową i przede wszystkim leczy. Nadal jest szpitalem i kontynuuje dzieło Marii. A tego chciała najbardziej. ○



Mieczysław T. Starkowski

Dziennikarz, publicysta, felietonista. Uwielbia poznawać nowe miejsca. Fascynują go zabytki i przyroda, ale przede wszystkim interesują go poznani przy okazji ludzie. Pasjonuje się historią, jednak patrzy też w przyszłość. Na Facebooku prowadzi grupę Polacy nieznanymi (zapomnianymi).

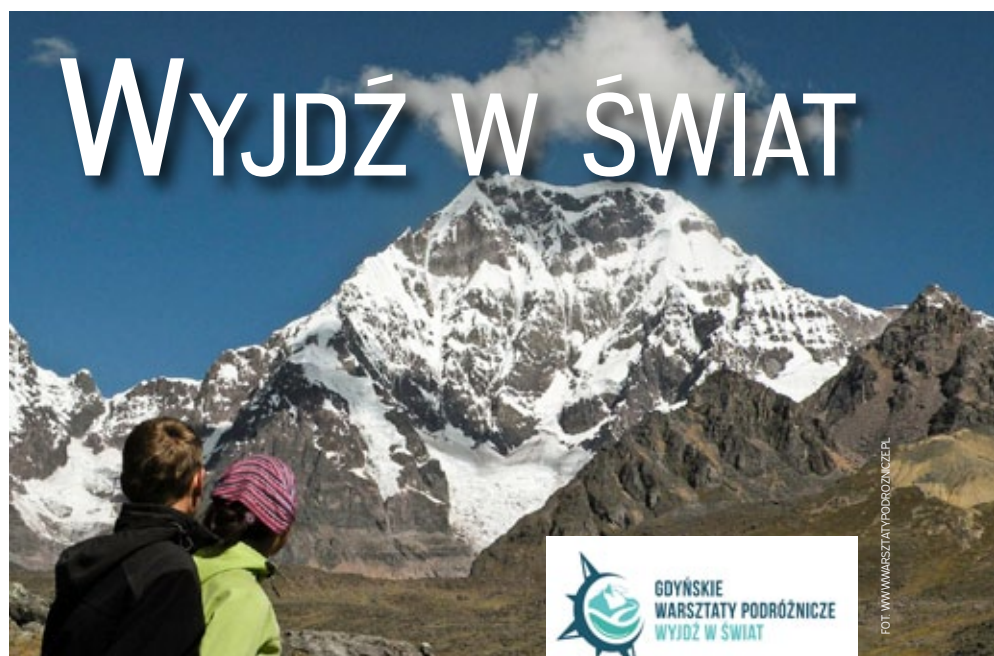
GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

RAPORT Z BEZDROŻY

Anna Drózdź i Kamil Majerczyk postanowili połączyć swoje pasje do żeglarstwa i trekkingu i ruszyć w poszukiwaniu przygód do Ameryki Łacińskiej. Pierwszym wyzwaniem będzie jachtostopowa przeprawa przez Atlantyk z Wysp Kanaryjskich na Karaiby. Stamtąd chcą się przedostać do Wenezueli i kontynuować podróż przez Kolumbię, Panamę, Kostarykę, Ekwador, Peru i Chile. Po wyprawie powstanie przewodnik dla backpackerów planujących samodzielną realizację tras trekkingowych w parkach narodowych Ameryki Środkowej i Południowej. Podróży towarzyszy akcja charytatywna polegająca na przesyłaniu pocztówek w podziękowaniu za darowizny przekazywane na rzecz Krakowskiego Hospicjum dla Dzieci im. ks. J. Tischnera. www.raportzbezdrozy.pl



Miaсто Gdynia i Hufiec ZHP Gdynia zapraszają na Gdynskie Warsztaty Podróżnicze Wyjdź w Świat – organizowany od 2011 r. cykl wykładów, prelekcji i warsztatów o tematyce podróżniczej skierowany do wszystkich ciekawych świata. W najbliższym czasie odbędą się dwa spotkania: 10 listopada oraz 24 listopada w godz. 18.00–20.00 w Sali Morskiej Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni. Gościem pierwszego będzie Wojciech Jagielski – dziennikarz, reporter, korespondent wojenny i pisarz, autor wielu książek, m.in. „Modlitwy o deszcz” i „Wież z kamienia”. Drugie spotkanie poprowadzi Robert Gondek – podróżnik i fotograf, realizujący aktualnie projekt, którego celem jest zdobycie najwyższych szczytów w każdym afrykańskim kraju. Warsztaty są koordynowane przez małżeństwo podróżników Karinę i Marcina Stencłów, autorów bloga backpackersfamily.com. Więcej informacji na www.warsztatypodroznice.pl

TU ZACZNĄ SIĘ WAKACJE

W dniach 23–25 listopada w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie odbędą się 25. Targi Turystyczne TT Warsaw 2017, na których zaprezentują się dziesiątki wystawców z całego świata. Tegoroczne targi zapewnią odwiedzającym swoistą podróż dookoła świata. To niecodzienna okazja, aby zapoznać się z tysiącami ofert zarówno dla osób preferujących wyjazdy zorganizowane, jak i podróżujących samodzielnie z plecakiem. TT Warsaw to podróż pełna kulturalnych doznań oraz rozrywki dla całej rodziny. Obok konkursów z nagrodami i degustacji egzotycznych potraw odbędą się także spotkania ze znanymi podróżnikami, koncerty oraz pokazy taneczne. Nie zabraknie także niespodzianek z każdego kontynentu.

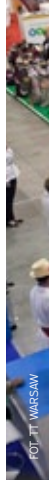
TT Warsaw to także uczta dla miłośników krajowych wyjazdów. Listopadowa impreza będzie wyjątkowo ciekawa, ponieważ w tym roku krajem partnerskim targów jest Polska. Dużo uwagi zostanie poświęcone polskim regionom, miastom, gminom, hotelom, uzdrowiskom oraz dziesiątkom innych atrakcji turystycznych, historycznych i kulturalnych. Wstęp na targi jest bezpłatny. Rejestracja już się rozpoczęła.

Więcej informacji można znaleźć na:

TTWarsaw.pl

[Facebook.pl/Urlopowicze](https://www.facebook.com/Urlopowicze)

[instagram.com/TTWarsaw](https://www.instagram.com/TTWarsaw)



DZIENNIK PODRÓŻY



Każdy podróżnik ma dziennik, w którym notuje informacje Ko etapach swojej wyprawy. Zapisuje cenne uwagi, refleksje, własne spostrzeżenia oraz ważne dane. Wielu podróżników wykonuje nawet rysunki, odręczne mapy, szkice napotkanych obiektów czy zwierząt i roślin, a niektórzy wklejają też bilety i zasuszone rośliny. Z biegiem czasu notatki są coraz cenniejsze, ponieważ sprawiają, że przeżycia stają się niezapomniane. Michałina i Jakub Nerkowscy opracowali zeszyt dla podróżników, w którym mogą rysować, wklejając znaczki i bilety, przybijać pieczątki i notować wszystko, co wydaje się ważne. Wydawnictwo Na szczyt.



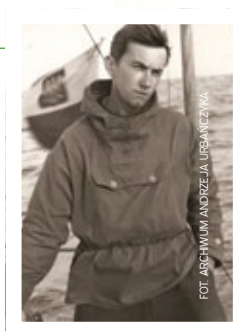
SPOTKANIE Z PIOTREM PUSTELNIKIEM

Radzyńskie Stowarzyszenie Podróżnik zaprasza na spotkanie z alpinistą i himalaistą, zdobywcą Korony Himalajów i Karakorum, Piotrem Pustelnikiem. Wydarzenie, odbywające się w ramach 22. edycji Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami, zaplanowane jest na 17 listopada. O godz. 17.30 Piotr Pustelnik odsłoni swoją tabliczkę na Skwerze Podróżników w Radzynie Podlaskim, natomiast o godz. 18.00 spotka się ze wszystkimi zainteresowanymi w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zenona Przesmyckiego. Motywem przewodnim spotkania będzie wydana we wrześniu 2017 r. autobiografia Piotra Pustelnika „Ja, pustelnik”, której współautorem jest Piotr Trybalski.

www.facebook.com/radzyn.spotkania

TRATWA PRZEZ BAŁTYK

W 1957 r. 21-letni student Politechniki Gdańskiej Andrzej Urbańczyk, wraz z trójką kolegów, postanowił w oryginalny sposób przepłynąć Bałtyk. Załoga samodzielnie zbudowała tratwę z sześciu świerkowych pni powiązanych linami i wyruszyła w rejs, pomimo sprzeciwu Polskiego Związku Żeglarskiego, za to pod patronatem miesięcznika *Poznaj Świat*. Wyprawy nieraz towarzyszyły trudne warunki pogodowe, ale ostatecznie zakończyła się sukcesem i dopłynięciem do południowych wybrzeży Szwecji. Odważny wyczyn Polaków obchodzi w tym roku 60. rocznicę, której towarzyszą liczne uroczystości, a także ekspozycja Narodowego Muzeum Morskiego na Darze Pomorza. Warto przypomnieć, że całość wyprawy została spisana przez dowódcę świerkowej tratwy Nord – Andrzeja Urbańczyka i wydana w formie książki w 2007 r. Dla upamiętnienia rejsu macierzystemu nabrzeżu portu jachtowego w Łebie – miejscu, gdzie wszystko się zaczęło – nadano nazwę Nabrzeże Świerkowej Tratwy Nord.



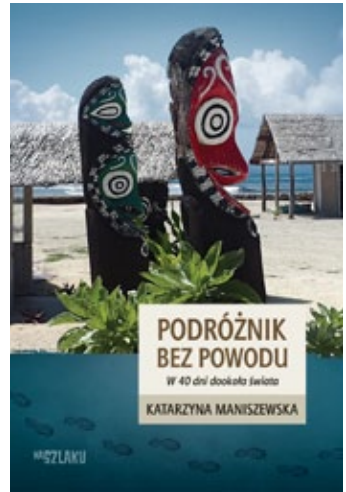
POD CIEMNĄ SKÓRĄ FILIPIN

W ciągu samotnej ośmiomiesięcznej wyprawy poznawczo-reporterskiej Tomasz Owsiany odwiedził siedem plemion i ludów oraz wybrane społeczności Filipin we wszystkich makroregionach kraju. Nawiązał bliskie kontakty z mieszkańcami i uczestniczył w ich codziennym życiu: wyrabiał węgiel, uprawiał zbieractwo, orał bawołami ryżowiska i brał udział w często szokujących ceremoniach. Poznał szamana uprawiającego czarną magię i dotarł do obozu grupy paramilitarnej na Mindanao. Mieszkał w kolonii karnej i rezydencji filipińskiego multimilionera. Celem jego wyprawy było doświadczenie „próbek” z pełnego obrazu Filipin, poznanie nieeksportowej twarzy kraju oraz odnalezienie odpowiedzi na pytanie, jak przeobrażają się tamtejsze rdzenne kultury pod wpływem nowoczesności. Ale ambitne założenia podróży nie oznaczają śmiertelnej powagi opowiadania. W historii tej nie brak humoru czy anegdot wypływających wprost z filipińskiej rzeczywistości. Wydawnictwo Muza.



PODRÓŻNIK BEZ POWODU

Kolejna książka Katarzyny Maniszewskiej, wielbielki muzyki Krockowej, doktora nauk humanistycznych, dziennikarki i wykładowczyni. Przede wszystkim zaś pisarki oraz podróżniczki, która przemierza świat z plecakiem, bez konkretnych planów i rezerwacji. Trasa dookoła świata wiodła przez Paragwaj, Brazylię, Argentynę, Nową Zelandię, Vanuatu, Australię, Zambię, Botswanę, Zimbabwe i RPA. Autorka pisze m.in. o próbach utworzenia utopii w Paragwaju, osobliwych wierzeniach i nie mniej dziwnych kulnariach w Vanuatu, rodzajach maoryskiej haki, świętym miejscu Aborygenów, czyli czerwonej skale Uluru, i o tajemniczych ruinach Wielkiego Zimbabwe. Podróżniczka opowiada z humorem o odwiedzanych krajach i swoich perypetiach, włącza liczne ciekawostki, ale i nie unika tematów trudnych, związanych z krwawą historią odwiedzanych miejsc lub obecnymi problemami polityczno-ekonomicznymi. Maniszewska, która na co dzień jest naukowcem zajmującym się tematem terroryzmu, zawiera w książce również porady dotyczące bezpieczeństwa, dzięki którym spada prawdopodobieństwo niemiłych niespodzianek. Wydawnictwo Sorus.



Poznaj Świat

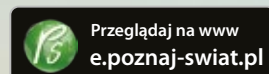
miesięcznik, który

uzależnia...

od czytania i podróży



teraz uzależnia
**także w wersji
cyfrowej**



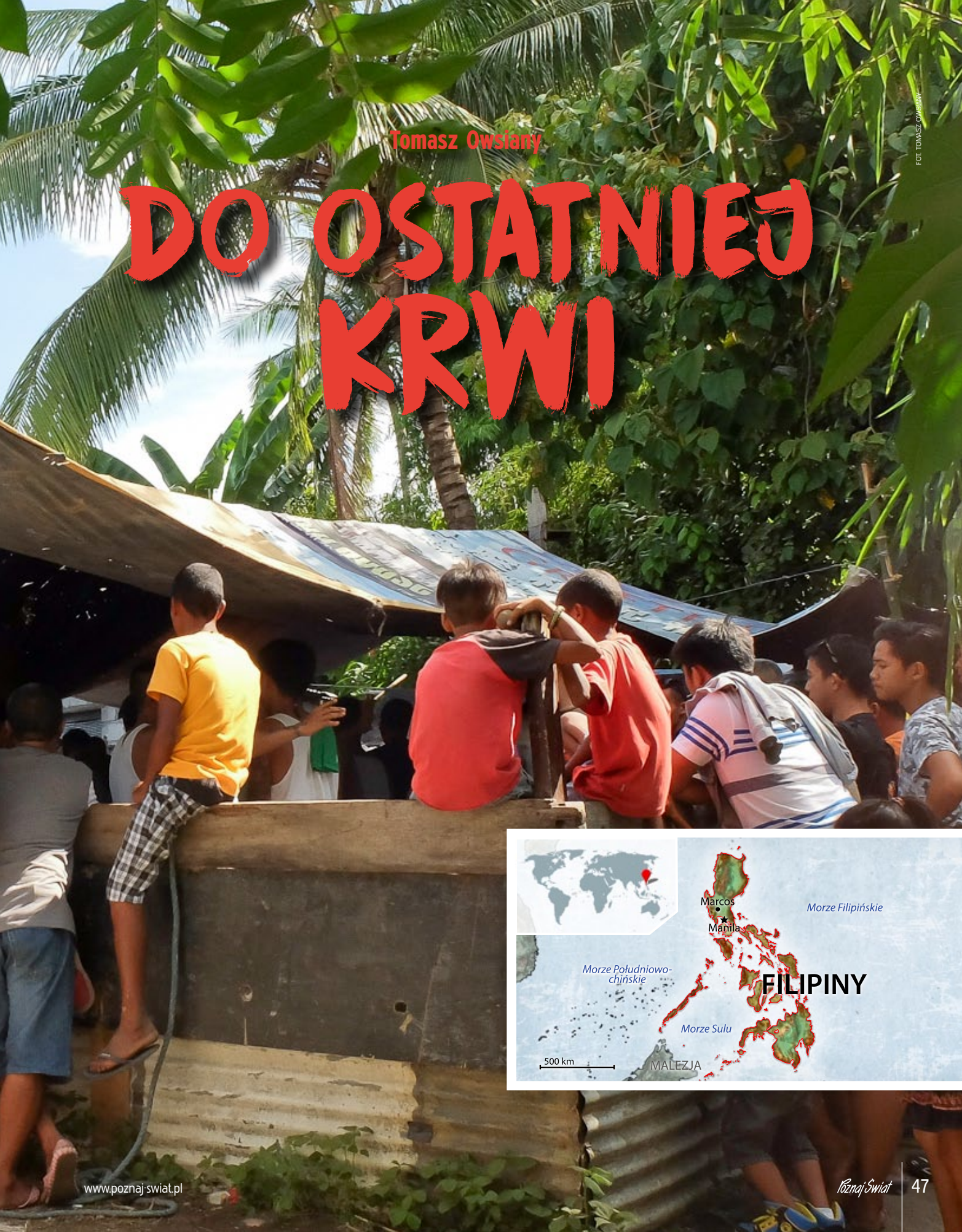
Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK

ZAWSZE W ZASIĘGU



Tomasz Owsiany

DO OSTATNIEJ KRWI



Jeśli wśród okrzyków i fruującego pierza polityk ściska tragarza, to musi być *sabong*. Krwawe walki kogutów, które mają tradycję starszą od samych Filipin. Są elementem zbiorowej tożsamości, toposem i narodową rozrywką. A przy okazji przemysłem wartym pięćdziesiąt miliardów pesos.

DZIÓB W DZIÓB

Koniec pojedynku już bliski. Arbiter trzykrotnie unosi koguty skierowane do siebie dziobami. Jeśli przy trzeciej próbie przeciwnik nie podejmie walki – przegrał.

Wszystko zaczyna się od jajka, w takim miejscu jak to: na koguciej fermie nad suchym brzegiem rzeki Sacobia. Żółty kurczaczek z krwi wojowników dorasta w sześć miesięcy i jako dumne ptaszysko wdrapuje się na żerdź trójkątnej budki. Czasem dorodnym ogonem odwraca się w stronę zielonego łańcucha gór Zambales i wulkanu Pinatubo. Czasem skieruje dziób ku miasteczku Marcos – szarej, blaszanej osadzie ciemnoskórych Aytów, pierwszych mieszkańców Filipin. Innym razem wpatruje się w samotną górę Arayat, która króluje nad równinami Pampangi. I wtedy pieje. Pieje nad dramatyczną historią tego miejsca, przeoranego przez

Pinatubo w 1991 r.; na postępującą marginalizację Aytów i na to, że jego ferma powstała na zawłaszczonej plemiennej ziemi. A od świtu do zmierzchu wtóruje mu tysiąc siedemset kogucich gardeł – w niepozornym folwarku, który uczynił jego właściciela milionerem.

Kunszt hodowcy objawia się nie tylko w krzyżowaniu, ale i w prowadzeniu kogutów. Każdego dnia przyszli gladiatorzy wydziobują wspólnie 150 kg specjalnie wzbogaconej karmy. Dostają również wodę mineralną, bo bohater aren zwykłej wody pił nie będzie. Po śniadaniu czas na kąpiel – kilka godzin pracy. Potem zaś codzienny trening. Każdy kogut powinien stoczyć trzy walki, żeby nie wypaść z formy i nie tracić wzmacnianego testosteronem ducha. Trenerzy zakładają ochraniacze na ostrogi i wpuszczają ptaki. Kilka ciosów i napastnicy zostaną rozdzieleni. Nie mogą sobie zrobić krzywdy – wyszkolony, niespełna roczny ptaszor jest wart ponad 600 zł, dwie trzecie minimalnej miesięcznej pensji. Najlepsi adepci z linii zwycięzców – nawet cztery razy więcej. Psy mają czego pilnować i złodzieje o tym wiedzą. Najdroższe koguty osiągają wartość skuterów i potrafią wywalczyć miliony. Takie próbowano kraść z karabinami maszynowymi w rękę.



FOTO: MASA OWSIANY

POKAŻ KOGUTA

W zacienionej części fermy mieszka elita: koguty, które właściciel trzyma

do własnych walk ligowych. Jest dobrym strategiem, o czym świadczy rząd trofeów na półce. Koguty do walk na ogół pozbawia się grzebienia i dzwonek, żeby nadać im srogi wygląd. On jednak dla niepoznaki zostawia im naturalne atrybuty i łagodniejsze rysy. Dobry kamuflaż, bo największy czempion ani przystojny, ani szczególnie postawny nie jest. Jeśli jednak biały kogut stanie się czarnym koniem, sława i pieniądze będą ogromne. W 2014 r. zwycięzca pucharu świata w Manili odjechał nową terenówką i otrzymał 25 mln pesos, czyli ponad 3 mln zł. Średni zarobek trzech pokoleń.

Sabong został zalegalizowany w latach 70. przez prezydenta dyktatora Ferdynanda Marcosa. Od tamtej pory stał się biznesem wartym miliardy, który dzisiaj reguluje Narodowa Federacja Hodowców Kogutów (NFGB) o silnej pozycji. Główne turnieje odbywają się w największych halach w kraju. Są ściśle przepisami, ważenie co do grama, linie i okręgi na ringu. Zawody mają logotypy, reklamy w telewizji i pierwszoligowych sponsorów. Pasjonaci mają swoje strony internetowe i brązową prasę.

Poza świętami podwórkowy *sabong* jest nielegalny, choć z podwórka się wywodzi. W pokątnych walkach uczestniczą tylko miejscowi. Niekiedy trudno w ogóle znaleźć arenę. W Marcos trzeba najpierw minąć szereg domków z cementowych cegieł, dziurawych blach, nadłamaney dykty i przypadkowych kratek. Skręcić w prawo, tam gdzie splywa strużka z domowych odpływów. Przejść między murkiem a otwartą werandą i wejść na ziemiste, zaśmiecone podwóreczko. Za nim słycać już gorączkowe

pokrzykiwania *sabongero*. Ale nim poniosą emocje, trzeba właściwie dobrać przeciwnika. Właśnie to robią mężczyźni, którzy kucają w cieniu drzewa. Porównują koguty, obmacują delikatnie ptaki. Sprawdzają wagę, rozpiętość skrzydeł, szukają dawnych szwów – czempiona poznaje się po bliznach. Kilkusekundowe starcie próbne pomaga podjąć ostateczną decyzję. To też czas na zakłady między właścicielem a jego najbliższymi, według etykiety.

WYCZESANI

Elegancki kogut i właściciel z zadbaną fryzurą wyczekują początku walki. Po zwycięstwie z koguta zostanie zmaltretowany obdartus. Właściciel zaś obrośnie w piórka.





FOT. TOMASZ OMSIANY



FOT. TOMASZ OMSIANY

W ZBROJOWNI I NA RINGU

Tnące jak brzytwa ostrze *tari* jest fachowo przytracane przez „zbrojmistrza” nazywanego *mananara* (góra). Uzbrojenie łap znacznie skraca czas walki, na ogół do kilku minut (dół).

Krewnemu nie wypada postawić na cudzego koguta, a szefowi dzielnicy nie poprzec podwładnego. Należy też zaproponować zakład najważniejszym gościom. A potem czas do zbrojowni.

NA OSTRZU NOŻA

W skórzanej teczce wyłożonej aksamitem leżą ułożone w drabinkę ostrza *tari*. Specjalista

zwany *mananara* wyjmuje z niej taśmy i kordonek, którymi starannie przytwierdza *tari* wokół tępo ściętej ostrogi. Potem zakłada na ostrze plastikową pochwę. Noże są ostre jak fryzjerskie brzytwy. Koguty leżą spokojnie na rękach właścicieli, ale uważać trzeba. Ostrza mogą też sporo powiedzieć o ptasim wojowniku. Jeśli nosi *tari* na prawej łapie, to znak, że nie z żółtodziobem ma się do czynienia. Koguty są bowiem lewonóżne i instynktownie szarżują lewą łapą. Nóż na prawej nodze utrudni zadanie mistrzowi i zwiększy szanse przeciwnika. Być może też słabszy wojownik będzie nosił metalowe ostrogi na obu łapach – wszystko zależy od ustaleń właścicieli w trakcie parowania kogutów.

Ring, obudowany do wysokości piersi blachą i sklejką, jest ciągle oblegany. Wewnątrz stoją czynni gracze. Właściciel faworyta walki czeka pod tabliczką z napisem *meron*, a słabszy konkurent – pod napisem *wala*. Na znak sędziego ptasi przeciwnicy stają dziób w dziób i zaczynają się tarmosić. Czasem opiekun celowo daje podziobać swojemu koguta dla wzmoczenia agresji. To ważny moment dla *sabongero*, którzy mogą teraz sprawdzić temperament ptaków i wybrać faworyta. Potem zaczynają się zakłady między graczami. Gorączka jak na giełdzie! Wycwiczone gesty i okrzyki: cztery palce poziomo, czterysta pesos. – *Lo diez! Diez!* I przy wygranej czterysta pesos da pięćset. Wszystko obserwuje i zapamiętuje bukmacher, zwany potocznie *criso*, bo wciąż wyciąga ramiona, by

powtórzyć gest gracza i potwierdzić zakład. Później z pamięci bezbłędnie wypłaci wygraną i wyegzekwuje dług. Karton na sznurku śmiga z lewej na prawą, wskazując *llamado*: koguta, na którego postawiono w danej chwili więcej pieniędzy. Porażka *llamado* jest mniej prawdopodobna niż porażka *dehado*, ale kosztuje więcej. A w ruch idą grube banknoty. Sypią się pięćsetki i tysiące. Dla wielu kilkudniowy budżet całej rodziny. Wreszcie opiekun

areny zarządza ciszę. Uwaga! Wypuszczono ptaki!

Początek jest groteskowy: koguty stanęły do siebie bokiem. Faworyt zaczął dziobać okruchy z ziemi, a *dehaddo* sfajdał się na placu boju. Aż nagle oba ptaki ruszyły na siebie bez zapowiedzi. Szamotanina trwała krótko. Metalowa ostroga zrobiła swoje w kilkanaście sekund. Wrzawa i śmiechy. Jaka duma zwycięzcy, jaki wstyd przegranego! Następna walka jest już bardzo wyrównana. Ptaszyska wyciągają ku sobie wściekle głowy i stroszą kryzy. Zaczyna się bardzo dynamicznie: skoki, zwarcie i cięcie. *Sabongero* otoczyli walczące koguty. – *Haaa! Dawaj!* – kibicują na widok pierwszej krwi. – *Oooo, taaak! Dalej!* – krzyczą i odskakują, bo ptaki poruszają się szybko i mogą poranić widzów. Zwarcia są coraz krótsze. Gladiatorzy słabną, a okrzyki narastają. Wynik waży się na ostrzu noża. Wreszcie jedna ze stron przestaje się bronić. Sędzia chwytając za grzbiet coraz bardziej otepiałe koguty, ustawia dziobami do siebie, a gracze skandują: – *Patay!* Martwy! Równy, jak wojskową odezwę. Jeden z ptaków resztką sił dziobnął nieruchomego przeciwnika. Raz, drugi i trzeci. Zwycięstwo! A z eleganckich zwierząt zostały dwa zakrwawione obszarpańce.

SZYJ ZDRÓW!

Szeroko uśmiechnięty zwycięzca przyjmuje gratulacje. Opłacił się wysiłek: zastrzyki z witamin na trzy tygodnie przed i kapsułki w zeszlą niedzielę. Jego podopieczny spisał się na medal. – *Wygrałem!* – krzyczy właściciel, choć był tylko kibicem. Do końca walki istnieje



między nimi silna więź. Teraz jednak są na przeciwnych biegunach: człowiek jest szczęśliwy, a głowa poranionego ptaka zwisa ku ziemi. Półprzytomny, bezradnie rusza dziobem, kiedy krew spływa mu do gardła.

Kogutem zajmą się za moment, bo w tej chwili liczą się tylko ludzie. Liczy się duma zwycięzcy, który będzie dziś wiele opowiadał o walce, pił piwo z bryłą łupanego lodu i zjadł potrawkę z pokonanego kuraka. Triumfator musi jeszcze odpalić dziesięć procent

POLOWA KLIKA

Tuż po walce właściciele kogutów własnoręcznie zszycują głębokie rany swoich wojowników.



LEGALNIE PRZY TRUMNIE

Sakla, karciana gra hazardowa, towarzyszy niekiedy pokątnym walkom kogutów. Partie rozgrywa się również w czasie kilkudniowego czuwania przy trumnie zmarłego bliskiego. Procent od wygranych pomaga pokryć koszty pogrzebu. W tych okolicznościach sakla jest tolerowana przez władze.

właścicielowi obiektu i wypłacić wygraną z wewnętrznego zakładu. Dopiero po tym zwycięzca idzie do polowej kliniki. Własnoręcznie będzie szyl koguta.

Pod płótem z zielonego bambusa operacje przechodzą dwaj poprzednicy. Leżą spokojnie na kolanach właścicieli. Z apteczki mężczyźni wyjmują przyrządy. Żadnego znieczulenia nie będzie, a obrażenia wydają się beznadziejne. Oba ptaki leżą cicho, otępiąle z bólu. Anatomia znana z kuchni spogląda teraz spomiędzy piór żywego stworzenia. Ketgut przechodzi przez skórę i błony, czasem i przez wierzch samych mięśni. Zielona nić powoli zamyka szeroka dziurę w gardle, rozcięte do żywego mięsa udo i pierś. Przy szyciu skrzydła kogut zaczyna trząść się z bólu, ale nie ma sił piąć. Widok trudny do zniesienia. Potem jeszcze na siłę palec do dzioba, trochę wody i potrząsanie, żeby usunąć skrzep z przetyku. O dziwo, dwie minuty później udręczony ptak zaczyna przechadzać się po podwórku. Prawdziwy wojownik! W domu dostanie jeszcze antybiotyki. Do kolejnej walki będzie mógł stanąć dopiero za rok, a po sześciu latach służby zajmie miejsce w kurzym haremie, by zostać protoplastą kolejnego rodu gladiatorów.

WALKA WEWNĘTRZNA

Za plecami *sabongero* też trwa walka, choć spokojniejsza i w mieszanym gronie. Pod płóciennym daszkiem jest rozgrywana *sakla*. Na stole rozłożono planszę, która pokryła się banknotami wszystkich nominałów. Jest też krupier, który wyciąga z talii tajemnicze karty jak z tarota. Potem zaczyna się skomplikowana gra. Hazard jest na Filipinach w wielu formach dozwolony i towarzyszy Filipińczykom przez całe życie. Dzieci zaczynają grą w orla czy reszkę. Co prawda rzucają jednopensówkami z José Rizalem, ale tylko wygrany pójdzie do sklepiku po czekoladowe chrupki. O pieniądze grają w górach, pod mangowcem, na chwiejnym stolczku i w miejskich kasynach. Grają i nad przeszkloną trumną przez kilka dni czuwania i oddają dolę rodzinie zmarłego na pokrycie kosztów pogrzebu. O taki hazard nikt się nie śmie czepać.



Argumenty nielicznych na Filipinach przeciwników sabongu są oczywiste. Zwolennicy odpowiadają zaś, że koguty mają naturalną skłonność do wzajemnej agresji, a na ringu same decydują, kiedy zacząć walkę. Że mogą też zwyczajnie uciec, choć pewnie trafią wówczas do karnego rondla. Okrucieństwo sabongu nie polega jednak na samym aranżowaniu walk, lecz na potęgowaniu obrażeń zadawanych przez zwierzęta zupełnie nieświadome konsekwencji swojego ataku.

Można też doszukiwać się jasnych stron ptasich pojedynków. Walki kogutów zbliżają ludzi i wytwarzają między nimi więź braterstwa. Są w centrum życia towarzyskiego spajającego lokalne społeczności. Gracze kierują się nieformalnym kodeksem nakazującym uczciwość i wzajemne zaufanie. Wśród bojowych okrzyków i fruującego pierza narasta atmosfera równości: mało gdzie biznesmen będzie poklepywał radośnie po plecach prostego robotnika.

Sabong wydaje się mieć dziś bezprecedensowo silną pozycję w filipińskim społeczeństwie. Obrońcy praw zwierząt mogą wywalczyć nakaz używania środków przeciwbólowych, ale nie powstrzymają rzezi trzynastu milionów kogutów rocznie. Zapaleni *sabongero* zasiadający w Kongresie otwarcie sprzeciwiają się próbom ograniczenia ich ulubionej dyscypliny. Pozycja sabongu jest nienukaszalna. Nie wykorzystani się go, tak jak nie wyrwie się lyka z rosnącego drzewa. Zakład? ○

TROFEA SZEFA

Pracownik dużej fermy koguciej nieopodal Marcos Village pokazuje wybrane trofea zdobyte przez jej właściciela.



Tomasz Owsiany

z wykształcenia tłumacz języka francuskiego. Miłośnik przyrody, odpoczywa najlepiej w lesie i na górskich szlakach. W 2014 zadebiutował książką „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie”. Laureat Nagrody Dziennikarzy Kolosów (za rok 2015) za wyprawę „Pod ciemną skórą Filipin”, wyróżnioną także w kategorii Podróż.



Książka Tomasza Owsianego „Pod ciemną skórą Filipin” ukaże się 8 listopada.



ŚPIESZMY SIĘ KOCHAĆ KIOSKI

Oto miasto z lotu ptaka. Gdzieś w Polsce, może być nawet wasze. Zróbmy zbliżenie na siatkę ulic, niech staną się korytarzem 3D. Idźmy przed siebie, skanując pole widzenia jak bohater komputerowej gry. Popatrzcie. Czy czegoś wam brakuje?

Mnie brakuje bardzo. Wesołych jak słońce albo wielkanocny kurczak kiosków, które jeszcze niedawno wyrastały na rogu każdej szanującej się ulicy. Wystarczyło się rozejrzeć i już człowiek wiedział, dokąd pobiec w każdej palącej potrzebie (nie mylić z „za potrzebą”). Brak biletu na autobus? Ból głowy wymagający natychmiastowej aplikacji proszku? Nagląca chęć poznania najnowszych ploteczek z okolicy? Takie rzeczy tylko w kiosku. Punkt sprzedaży prasy był nim tylko z nazwy:

kiosk to w istocie sezam, którego nie powstydziliby się rozbójnicy od Ali Baby. Dostaniemy w nim wszystko: zdrapki, na muchy łapki, klapki, których nie zdążyliśmy spakować do wakacyjnej walizki. Można tu naprędce skołować zapomniany prezent, kiedy wystrojony jesteśmy już w drodze na czyjeś imieniny, zakupić perfumy „Być może” w razie niespodziewanej randki albo spróbować szczęścia w totka, kiedy właśnie zwolnili nas z pracy.

Używam jeszcze czasu teraźniejszego, choć bardziej odpowiedni staje się

przeszły. Upadek kiosków zaczął się niepostrzeżenie. Na początku swojskie żółte budki zaczęły być wypierane przez kubiki w kolorze modnej szarości. Że niby ładniejsze, nowocześniejsze i lepiej wtapiają się w miejski krajobraz. A dodatkowo oferują większą przestrzeń na ekspozycję prasy i jeszcze na ekspres do kawy. Z czasem nawet i te wielofunkcyjne kombajny przestały zdawać egzamin. Sprzedaż prasy przeniosła się do eleganckich i antyseptycznych saloników prasowych w centrach handlowych. Kiosk bez okien i bez ulicy? To coś jak rower na biegunach.

Moje pierwsze wspomnienia związane z kioskiem sięgają wakacji u babci. We wsi kiosk był jeden, ulokowany w zaszczytnym punkcie między kościołem a cmentarzem. Stanowił niekwestionowane centrum kulturalne całej okolicy, więc sporą część sennych, letnich dni spędzałam z nosem przyklejonym do jego szyb. Łapczywie pożerałam wzrokiem komiksy, wafelki Kuku-ruku i zwieszające się między gazetami girlandy z chińskich maskotek. Kioskarka okazywała mi morze cierpliwości i mimo

KALENDARZ Z ROWERAMI ZABYTKOWYMI 2018

mojej ograniczonej siły nabywczej pozwalała mi oglądać do woli. Mówili na nią Kisielka. Dzięki możliwości odkładania bardziej chodliwych tytułów i towarów cieszyła się wśród miejscowych duży respekt. Pamiętam ją tylko jako rozlegający się gdzieś z góry głos, bo wzrost nie pozwalał mi wtedy wyrzeć ponad małą blaszaną ladę. Marzyłam jednak o tym, by kiedyś być jak ona.

Żaden zawód nie mógł się równać z perspektywą spędzania dni w małym domku pełnym komiksów i gazet. Wyobrażałam sobie, że były tam też: małe krzeselko, termos z herbatą i koc przyjemnie grzejący nogi. Co jakiś czas jakiś miły klient wpadałby do mnie w odwiedziny, ale większość dnia spędzałabym, oddając się lekturze. Ta wizja wydawała mi się jeszcze lepsza niż praca w bibliotece: i bardziej kameralnie, i codzienne dostawy świeżej prasy. Poza tym w kiosku były zabawki. Przeważnie te na mniejszą kieszeń: bierki, puzzle, warcaby, bezimienne lalki tylko trochę brzydsze od Barbie. W moim rodzinnym mieście śledziłam postępy w blaknięciu pudełka gry „Eurobiznes”, które latami leżało w nasłonecznionej witrynie. Poprzysięgam sobie, że kiedy będę już miała własne pieniądze, w końcu ją sobie kupię. Nie zdążyłam. Kiosk zniknął razem z grą, jak niewyraźny motyw na przepalanej kliszy.

Upadek kiosków to problem ogólnoeuropejski. Ci wieloletni strażnicy ulicznych życia odchodzą w niepamięć, a z nimi budki telefoniczne i słupy na ogłoszenia. Niektóre miasta radzą sobie pod tym względem lepiej, jak Lizbona, gdzie XIX-wieczne kioski odrestaurowano i przekształcono w sympatyczne *Quiosque de refresco* – bary serwujące soki i drinki. Inne zaś gorzej, jak Paryż. Burmistrz Anne Hidalgo zarządziła tam, że do 2019 r.

z przestrzeni miejskiej mają zniknąć charakterystyczne zielone kioski, obecne na paryskich ulicach od ponad 150 lat. Zastąpią je nowoczesne stoiska wyposażone w skrzynki pocztowe, interaktywne ekrany prezentujące mapy i informacje o otoczeniu oraz zmieniające kolor oświetlenie. Nasuwa się tutaj tylko jedno pytanie: po co? Zadaje je sobie kilkadziesiąt tysięcy paryżan, którzy podpisali już petycję przeciw tej decyzji.

Czym jest miejski poranek bez kiosku, w którym można kupić gazetę i dziarsko pomaszerać przed siebie z rulonem pod pachą? Trudno mi sobie wyobrazić, że może być inaczej. Wierzę jednak w to, że przyszłość zależy od nas. Pod Warszawą znajduje się skup starych kiosków. Z tego

smutnego cmentarzyska za niewygodną cenę można wyjść z własnym egzemplarzem, do zagospodarowania według swojego pomysłu. Noszę się z poważnym zamiarem zrealizowania w jednym z nich mojego dziecięcego marzenia. Po spełnieniu się w pracy kioskarki mogłabym oferować taką usługę innym. Kiosk na godziny jako terapia dla wypalonych pracowników korporacji. Już widzę ten nagłówek w gazetach! ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl



Kalendarz ścienny w formacie A3

- na każdy miesiąc 1 strona • druk dwustronny • papier 250 g, połysk

Rowerzy firm:

- polskich - Kastor (1934), Kamiński (1934), Mesko (1962)
- niemieckich - Opel (1926), Dürkopp (1934), Brennabor (1922), NSU (1954)
- francuskich - Peugeot (1900), Griffone (1934)
- angielskiej - New Hudson (1927)

wraz ze zdjęciami osób w strojach z epoki

do 16 listopada 2017 można się zapisać na kalendarz z 10% rabatem - szczegóły akcji promocyjnej na stronie sklepu internetowego <http://ROWER-POWER.dawanda.com>

w sprzedaży od 17 listopada 2017

w sklepie internetowym <http://ROWER-POWER.dawanda.com> oraz dobrych sklepach i kawiarniach rowerowych na terenie całego kraju

Zdjęcia z sesji do kalendarza: [f /BoutiqueRowerowyRowerPower](https://www.facebook.com/BoutiqueRowerowyRowerPower) oraz [p /butiquerowerowyrowerpower](https://www.pinterest.com/butiquerowerowyrowerpower)

PATRONAT HONOROWY



SlowLife
Food & Garden

velonews.pl
TWÓJ PORTAL KOLARSKI

Poznaj Świat
MIĘSTECZNIK



POZNAŃSKI
prestiż



R E K L A M A



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

FRIULI SZAFA PEŁNA CUDÓW

Agnieszka Jankowska



GRAŁY SZEKSPIRA I MOZARTA

Marionetki w Teatrze Cudów Vittorio Podrekki, twórcy teatru lalek XX w. Brały udział w spektaklach dla dzieci zawierających elementy dzieł Szekspira oraz muzykę Mozarta.

Słyszeliście o Cividale del Friuli, jedenastotysięcznym miasteczku nad rzeką Natisone? Zapewne nie. A Carlos Santana i Sting – owszem. Obydwaj w jego magicznej scenerii zaśpiewali.



FOT. AGNIESZKA JANOWSKA

Friuli – Wenecja Julijska to jeden z dwudziestu regionów Włoch. Usytuowany w miejscu szczególnym, gdzie stykają się granice trzech państw i przenikają wpływy trzech kultur: włoskiej, słoweńskiej i austriackiej. Państwo włoskie podkreśliło wyjątkowość Friuli poprzez nadanie jej statusu jednego z pięciu regionów autonomicznych, które cieszą się samodzielnością w różnych sferach, również w tej fiskalnej.

Wycieczki z Polski zwykle ten region omijają, koncentrują się na sąsiadującym terenie Wenecji Euganejkiej, z królową Wenecją na czele. Friuli traktuje się niestety jak jej gorszą siostrę, choć jest równie urodziwa i jednakowo intrygująca. Brakuje jej tylko promocji. Są tutaj miasta i miasteczka w ogóle nieodkryte. A jednym z nich jest na pewno Cividale del Friuli,

którego zabytki zostały wpisane w 2011 r. na listę UNESCO.

DIABELSKI MOST

Symbolem Cividale jest Most Diabła – konstrukcja jednofilarowa, z dwoma przęsłami, oparta na skale oblewanej przez rzekę. Jego budowę rozpoczął w 1442 r. Jacopo Daguro da Bissone. Zmarł w czasie epidemii dżumy i dzieła nie ukończył. Dziesięć lat później dokonał tego Erardo da Villaco. Miejscowi, a za nimi turyści, wolą jednak wierzyć, że imponującą strukturę zbudował w ciągu jednej nocy bies. Jak zwykle w przypadku rogatego – nie za darmo. Diabeł zażądał duszy pierwszego mieszkańca osady, który przejdzie po moście. Tymczasem obywatele nie chcieli poświęcić

CZARCIA KONSTRUKCJA

Most Diabła jest symbolem Cividale del Friuli. Swą nazwę zawdzięcza legendzie, według której tę konstrukcję zbudował w ciągu jednej nocy czart.



nikogo i uratowali się przy pomocy fortelu, wypuszczając jako pierwszego psa.

Potem most ulegał zniszczeniom. W czasie I wojny światowej region Friuli był miejscem walk Austriaków i Niemców z Włochami. W 1917 r. został zburzony przez oddziały włoskie, później odbudowali go Austriacy. Na szczęście nie udało się go wysadzić Niemcom pod koniec drugiej wojny. Z kolei w 1976 r. dotknęło go trzęsienie ziemi.

W czasie świąt, licznych fiest i jarmarków przez tę budowlę, o wysokości 22,5 m i długości 50 m, przewijają się tłumy ludzi. Trudno wtedy znaleźć miejsce, aby w spokoju podziwiać panoramę. Warto więc zejść z mostu i zagłębić się w średniowiecznych uliczkach grodu. Ich historia sięga czasów rzymskich. Uważa się, że założycielem Cividale w 50 r. p.n.e. był sam Gajusz Juliusz Cezar. Wódz docenił trudno dostępne położenie u stóp Alp Wschodnich. Miasto, które nazwał Forum Iulii, miało odegrać ważną rolę militarną. Dziś pomnik Cezara stoi przed ratuszem. Czasami założyciel miasta uczestniczy nawet w życiu współczesnego Cividale, np. w 2016 r. przez kilka dni statua była ubrana w różową, zwyczajną koszulkę Giro d'Italia.

Na przestrzeni wieków okupowali miasto długobrodzi Longobardowie, następnie Frankowie Karola Wielkiego, którzy nadali mu nazwę Civitas Austriae. To dzięki zabytkom z epoki longobardzkiej zostało zauważone przez UNESCO. Znaczenie miasta wzrosło za czasów patriarchy Akwilei, który wybrał je na swą siedzibę w 737 r. Od tego momentu przez trzy stulecia było ważnym ośrodkiem religijnym, do momentu kiedy siedzibą patriarchy została znowu Akwileja. W XV w. przeszło pod wpływem Wenecji, w XVIII w. okupowali je Francuzi. Należało do Austrii i wreszcie w 1866 r. stało się częścią Włoch.



Po zejściu z diabelskiego mostu należy po kilkudziesięciu metrach skrócić w prawo i dać się poprowadzić uliczką. Mijamy malownicze domy i studnię zbudowaną za czasów patriarchy Kaliksta i niepostrzeżenie dochodzimy do Tempietto longobardo, niewielkiej świątyni, która mieści się w kompleksie klasztornym Santa Maria in Valle. Wejście do Tempietto znajduje się na skarpie nad rzeką Natisone. Obiekt został zbudowany na przełomie VIII i IX w., w okresie przypadającym na koniec epoki longobardzkiej i początek rządów Karolingów. Pełnił funkcję kaplicy, później oratorium klasztoru Benedyktynów, gdzie siostry

BIAŁE JEST NAJLEPSZE

Region Friuli słynie z produkcji win, przede wszystkim białych. Na zdjęciu krajobraz w okolicach Cividale, uchodzącego za stolicę tego trunku.





KRUŻGANEK LONGOBARDZKI

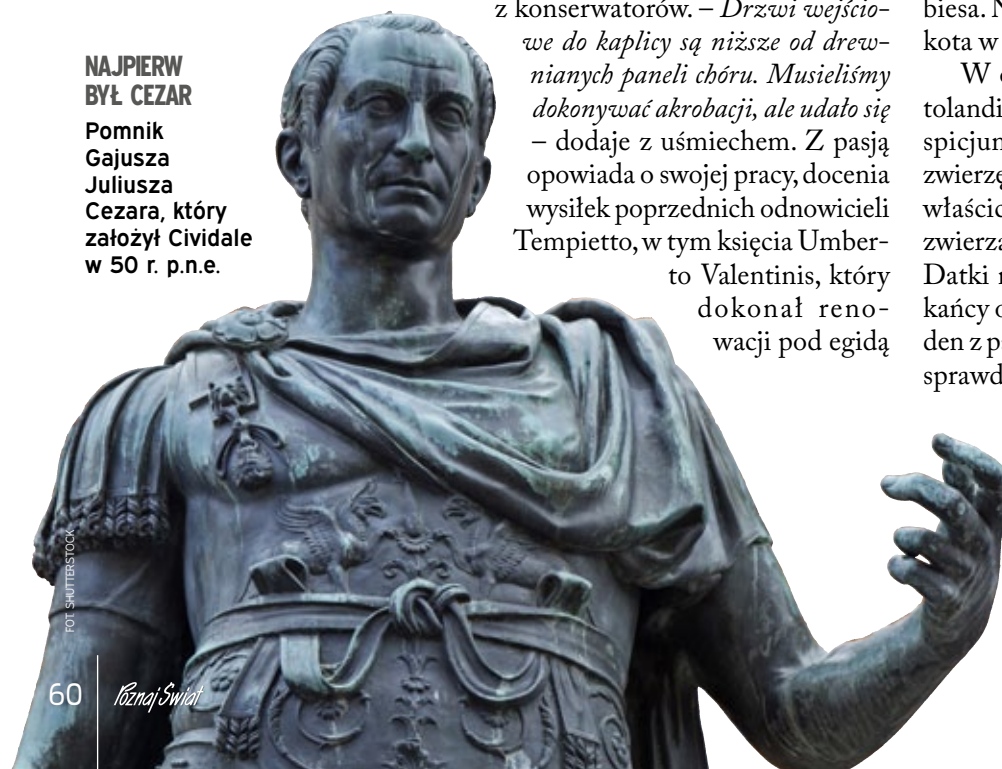
Klasztor Santa Maria in Valle. Zabytek pochodzi z przełomu VIII i IX w. Został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako przykład sztuki longobardzkiej.

zakonne zbierały się na modlitwę. Słynie m.in. z oryginalnych fresków Chrystusa wśród archaniołów Michała i Gabriela.

Zwiedziłam Tempietto kilka lat temu, kiedy wyposażenie prezentowało się w całej okazałości. Teraz przeprowadza się rekonstrukcję drewnianych stanowisk chóru z XIII w. Wcześniej nie opuściły nigdy kaplicy, obecnie przeniesiono je, choć niedaleko, wewnątrz opactwa. – *Samo ich przetransportowanie tutaj było wyczynem* – opowiada jeden z konserwatorów. – *Drzwi wejściowe do kaplicy są niższe od drewnianych paneli chóru. Musieliśmy dokonywać akrobacji, ale udało się* – dodaje z uśmiechem. Z pasją opowiada o swojej pracy, docenia wysiłek poprzednich odnowicieli Tempietto, w tym księcia Umberto Valentinis, który dokonał renowacji pod egidą

NAJPIERW BYŁ CEZAR

Pomnik Gajusza Juliusza Cezara, który założył Cividale w 50 r. p.n.e.



Weneckiej Akademii Sztuk Pięknych w 1860 r.

Tempietto rozślawiło Cividale w świecie. Nie dziwi więc, że mieszkańcy chcą o nie dbać. Po renowacji przewiduje się umieszczenie drewnianych elementów na konstrukcjach ruchomych, kółkach, aby w razie kataklizmu można było dzieło sztuki szybko ewakuować. To znak czasu, niestety. Po trzęsieniach ziemi w L'Aquila i Amatrice Włochy nie chcą stracić kolejnych skarbów wielkiego dziedzictwa Italii.

KOCUR TO MA KLAWE ŻYCIE

Przed Tempietto widzę okazałych rozmiarów kota. Rzuca leniwe spojrzenie, następnie wskazuje na jedyne wolne krzesło obok starszej pani. Zaczyna czyścić futro, widać, że jest u siebie. Przypominam sobie, że kiedy zwiedzałam Tempietto i klasztor kilka lat temu, również widziałam przechadzające się po krużgankach koty. Widać je w całym miasteczku, a ludzie w Cividale mają szczególną relację z tymi zwierzętami. Nawet w legendzie o moście zbudowanym przez diabła, w różnych jej wersjach, wymienia się rozmaite zwierzęta, które poświęcono dla biesa. Napotkałam psa, ale też proszę i owcę – kota w nich nie odnalazłam.

W okolicach klasztoru wpadam na Gattolandię (*gatto* – po włosku „kot”). To... hospicjum dla mruczków. Przebywają w nim zwierzęta chore na białaczkę. Placówką kierują właściciele pobliskiej trattorii, którzy leczą zwierzęta, a potem szukają dla nich domów. Datki na utrzymanie kotów składają mieszkańcy oraz turyści. Gdy przechodzę obok, jeden z pacjentów Gattolandii siedzi przy oknie, sprawdza, czy patrzę, i wygina się w pałak... Szpital to niejedeny przejaw kociej sympatii restauratorów. W lokalnej gazecie „Messaggero Veneto” czytam, że niedawno otworzył swoje podwoje niedaleko diabelskiego mostu Cat Caffè – lokal przyjazny kotom i ich właścicielom. Cividale



FOT. AGNIESZKA JANOWSKA

dołączy w ten sposób do trzech innych włoskich miast, w których takie kawiarnie już istnieją. W knajpce będą czekać na gości zwierzaki gotowe do pogłaskania. Ambicją właścicieli jest też stworzenie klubu miłośników kotów, którzy pogłębialiby swoją wiedzę na ich temat w powstałej tu fachowej bibliotece.

Często wybieram Cividale jako cel rodzinnych wycieczek. Na średniowiecznych uliczkach roztacza się atmosfera magii. Lubię pić kawę w kawiarni na placu Diacono. Plac zachwyca sugestywnymi freskami na kamienicach. Latem gości on małą karuzelę retro dla dzieci, której dźwięki, jak z katarynki, dobiegają do ogródków kawiarnianych.

PODOPIECZNI PANI SIGNORELLI

Na tyłach klasztoru znajduje się Teatr Cudów Vittorio Podrekki, twórcy teatru lalek XX w. Można w nim zobaczyć kolekcję marionetek zebraną przez scenografkę Marię Signorelli.

Łączyła ją z Podrekką, twórcą Teatru Małych w Rzymie, pasja do animacji. Tworzył we włoskiej stolicy, ale urodził się tutaj, w 1883 r. Organizował swoje inscenizacje z rozmachem, z wykorzystaniem dzieł Szekspira i muzyki Mozarta czy Rossiniego. Działalność teatru doceniano na całym świecie.

Kiedy kupuję bilet, starszy pan w kasie mówi: – *Na pierwszym piętrze, w studio Signorelli, proszę po prostu usiąść i czekać na niespodziankę.* Korzystam oczywiście z miłego i jednocześnie intrygującego zaproszenia. Siadam na sofie naprzeciwko dużej szafy, która góruje nad pomieszczeniem. Rusza film o twórczości scenografki. Podobnie jak Podrekka wykorzystywała w około 160 przedstawieniach dzieła autorów tej klasy co Puszkina, Wilde, Dante, Brecht. Przeniosła na scenę i taniec, i balet.

W pewnym momencie obraz gaśnie, a szafa powoli się otwiera. Raptem spogląda na mnie dużymi oczami około stu marionetek... Gdy ochłonęłam, szafa się zamyka,

KAPLICA SZCZEGÓLNEJ TROSKI

Kaplica Tempietto longobardo. Przeprowadza się tu rekonstrukcję drewnianych elementów chóru z XIII w. Ten region Włoch znajduje się w strefie trzęsień ziemi, stąd szczególna troska tutejszych konserwatorów.



FOT. AGNIESZKA JANOWSKA

MAGIA FRIULI

Niezwykłą atmosferę Friuli podkreśla m.in. muzeum lalkowe Teatru Cudów, a w nim szafa świetnej scenografki Marii Signorelli. Znajduje się w niej kolekcja stu marionetek wykorzystywanych przez artystkę podczas spektakli na całym świecie.

a ja mogę przyrzeć się pozostałym eksponatom. W rogu siedzi pajac neapolitański Pupo z XIX w. Po przeciwnej stronie zastygli w ruchu tancerze tanga. W pokoju po lewej – najbardziej znane lalki trupy Podrekka. Na drewnianych schodach stoją: Pogromca Lwów, Meksykanka, Skoczek... Uwagę przyciąga Pierrot zawieszony na księżycu. Siadam na sofie i oglądam film o przedstawieniach Teatru Małych. Nie mam ochoty stąd wychodzić. Patrzę na lalki, które przysporzyły tyle radości dzieciom w czasach, gdy nie było jeszcze smartfonów i tabletów. Twórcy Teatru Małych sami wymyślali i realizowali projekty lalek, którym później, na scenie, nadawali duszę.

Kolejną pasją Marii Signorelli było kolekcjonowanie afiszy reklamujących spektakle teatru animacji – zebrała ich około pięćuset. Oglądam ich reprodukcje na trzecim, ostatnim piętrze muzeum. Tu też odnajduję ciekawostkę: polonicum, manifest spektaklu „Tryptyk staropolski” wystawianego przez Teatr Lalki i Aktora im. Hansa Christiana

Andersena w Lublinie. Sztuka miała premierę w 1972 r.

SMACZNY ZAWIJANIEC

Powrót do rzeczywistości i... pora na deser. Wybieram się do kawiarni na placu Diacono, żeby skosztować gubanę. To rodzaj babki drożdżowej w kształcie ślimaka, która jest przykładem połączenia tradycji włoskich i sąsiedzkich. Nazwa ciasta pochodzi od słoweńskiego *guba* – „fałd”, chociaż obrońcy jej włoskiej marki od początku do końca podtrzymują, że początek dało określenie w dialekcie friulijskim *gubat*, oznaczające zawijanie. Wzmianki o gubaniu pojawiły się już w XV w. Miano nią ugościć papieża Grzegorza XII w 1409 r., podczas jego wizyty w Cividale.

Gubany nie mogło zabraknąć podczas świąt i wesel. Przymak był ściśle związany z rodziną i do 1960 r. wypiekany jedynie w domach. Później zaczęły go serwować trattorie i kawiarnie, które stopniowo prezentowały



FOT. AGNIESZKA JANKOWSKA



FOT. AGNIESZKA JANKOWSKA

gubanę na zewnątrz, aby można było ją poznać i docenić poza Friuli. Dziś mieszkańcy regionu chronią skład i procedurę wypieku w UE, uważają gubanę za swoje dziedzictwo narodowe.

Nadzienie przygotowuje się z orzechów, rodzynek, orzeszków piniowych, czasem dodaje migdały, suszone śliwki i figi, skórkę cytryny. Ciasto nasącza się grappą. Przekrojone, cieszy oczy brązowymi zawijasami na żółtym tle i przypomina z wyglądu nasz makowiec. Od 12 lat, w sylwestra, mieszkańcy Cividale biją rekord Guinnessa w wypieku gubany. W 2017 r. pobito go znowu. Upieczone, ważyło 92 kg i było cięższe o 5 kg od zrobionego rok wcześniej.

Nasycona zawijańcem, jestem gotowa na zwiedzanie Duomo, katedry zbudowanej w II połowie XV w., w miejscu tej, która stała tam od wieków i została zniszczona przez trzęsienie ziemi. Warto trafić na godziny otwarcia świątyni, żeby zobaczyć m.in. *pala d'argento*, tylną dekorację ołtarza, który jest darem dla miasta od patriarchy Pellegrino II w XII w. To płyta

z kutego srebra, o wymiarach 2 m na 1 m, składająca się z czterech części. Centralną jest tryptyk z Madonną na tronie otoczoną archaniołami. Boczne przedstawiają postacie apostołów i świętych, wśród których widnieje św. Donat, patron Cividale.

Trzech Króli to dla miasta podwójne święto. W tym dniu obchodzi się hucznie wjazd Marquardo von Randecka, patriarchy przybyłego do osady w 1366 r. Katedra staje się wówczas centrum obchodów. Odprawia się w niej uroczystą Mszę Szpady (szpadę przekazuje się patriarchsze jako znak jednodniowej władzy), a po nabożeństwie budowlę otaczają korowody mieszkańców w strojach z epoki. Imprezie towarzyszą walki rycerskie, popisy łuczników, sokolników i połykaczy ognia oraz wszechobecna muzyka średniowieczna.

Podoba mi się energia, która bije z tego miasteczka. Niezależnie od pory roku, cały czas tętni ono życiem. Jego mieszkańcom po prostu się chce! I nie mam wątpliwości, że mogli nawet wykiwać diabła. ◯



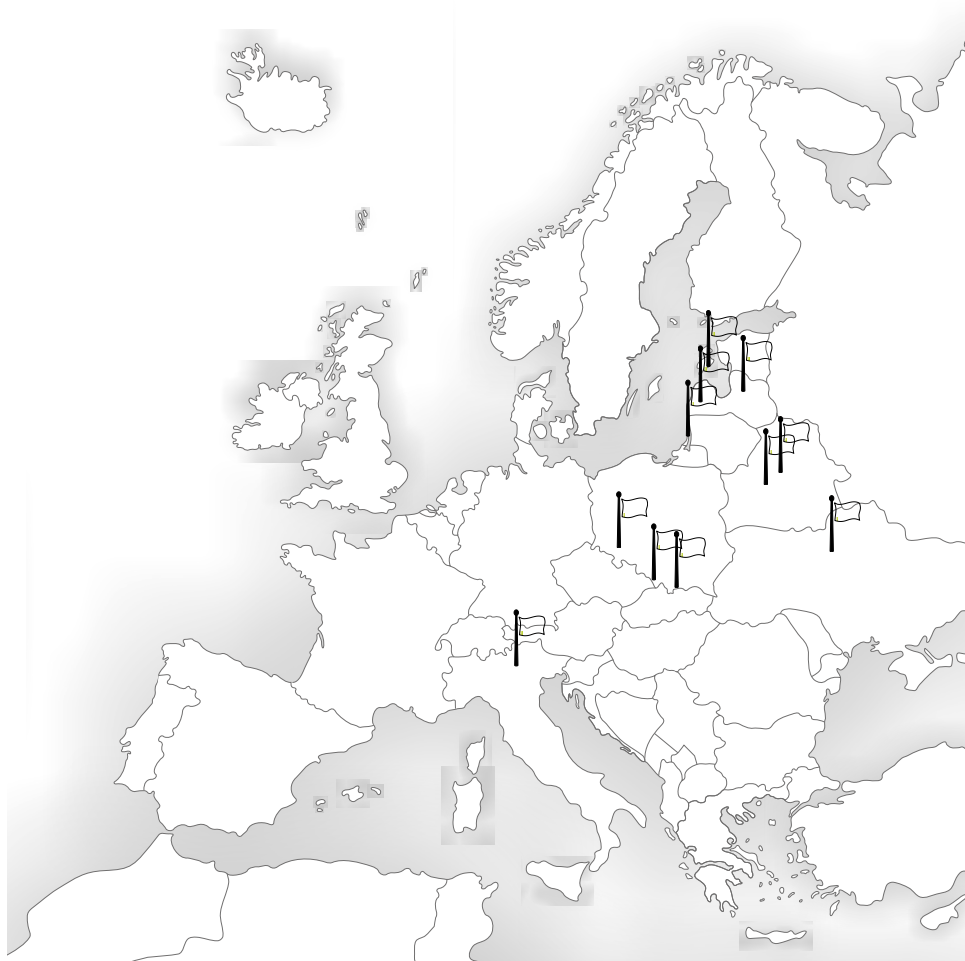
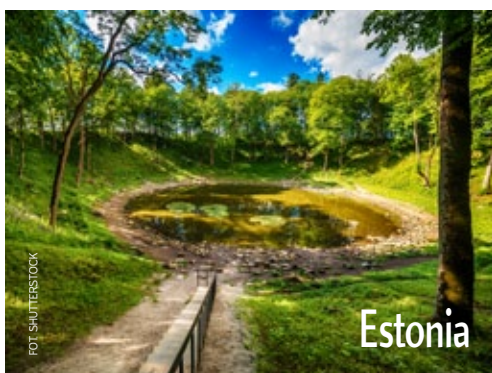
Agnieszka Jankowska

Dziennikarka i tłumaczka języka włoskiego, od kilku lat mieszka w tym kraju. Poślubiła Italię w przenośni i dosłownie, wychodząc za karabiniera. Najważniejsza rola w życiu: mama trzyletniego Frania, któremu próbuje zaszczyć zamilowanie do podróży.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady





50°50'N 16°29'E

Świdnica położona jest w odległości ok. 30 km od autostrady A4. Najważniejszą trasą biegnącą przez miasto jest krajowa droga nr 35.

PERŁA ŚLĄSKIEGO BAROKU

FOT. SHUTTERSTOCK

Leżąca na Przedgórzu Sudeckim w dolinie rzeki Bystrzycy 60-tysięczna Świdnica oferuje imponujące zabytki, które są świadectwem przeszło 750-letniej historii, piękne krajobrazy z górami i Ślężą w tle oraz cykliczne imprezy kulturalne. Miasto jest zwane perłą śląskiego baroku, przed wiekami było stolicą księstwa świdnicko-jaworskiego. Słynęło z wysmienitego piwa, pysznych pierników, tradycji kupieckich, a także konfliktów religijnych pomiędzy katolikami i protestantami. Zaowocowały

one dwiema imponującymi świątyniami: Kościołem Pokoju i monumentalną katedrą św. Stanisława i Wacława z wieżą wysoką na ponad 101 m. Warto tu zwiedzić także: wieżę ciśnień z XIX w., pruskie zabudowania byłej fundacji Kessela, zabytkowy dworzec PKP, pozostałości średniowiecznych murów obronnych i twierdzy świdnickiej, dawny pałac opatów cysterskich, były klasztor Kapucynów z zabytkowym portalem, mosty, fontanny, liczne kamienice i zabytkowe wille... Przeplatają się tu dzieje Polaków, Czechów, Niemców, Francuzów, Węgrów, Austriaków, Greków, Żydów i Rosjan. Mieszkańcy twierdzą, że to tutaj, a nie w Warszawie, na świat przyszedł pożerający mieszczan bazylijszek, a tutejsze pierwsze ślady przepisów wykonania pierników wyprzedziły o kilka dekad te z Torunia... Tutaj narodziła się także jedna z najstarszych w Polsce giełd staroci, nad którą w każdą pierwszą niedzielę miesiąca czuwa bóg handlu i złodziei Hermes, przypatrując się jej z najwyższej w rynku kamienicy. Od dwóch lat odbywa się Świdnicki Festiwal Piwa Rzemieślniczego, podczas którego można spróbować ponad stu rodzajów trunku.

Włochy Tenno

SPOKOJNA TOŃ

Tenno to mała gmina w regionie Trydent-Górna Adyga, licząca zaledwie 2 tys. mieszkańców. Ta malownicza miejscowość położona wśród gór to miejsce, do którego rzadko docierają turyści. By dostać się do największej atrakcji – jeziora – trzeba przebyć niełatwą drogę samochodem. Strome ulice i wąskie uliczki to przedsmak wrażeń, jakie czekają odwiedzających. Na zboczach gór rozciągają się barwne domy, a wśród nich duże drzewa



FOT. ALEXANDRA CIMEK



45°55'N 10°50'E

Turystyczną miejscowość Riva del Garda dzieli z Lago di Tenno 12 km, czyli około 20 min jazdy samochodem lub pół godziny autobusem nr 211.

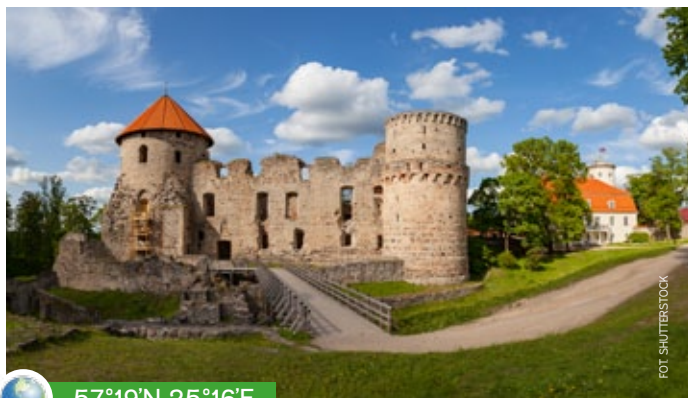


FOT. ALEXANDRA CIMEK

oliwne. Na Lago di Tenno jest mała wyspa, na którą można przejść z plaży, ponieważ woda w jeziorze w niektórych miejscach sięga do pasa. Chociaż latem jej temperatura nie jest tak wysoka jak w innych włoskich akwenach, to gwarancja spokoju, krystalicznej, turkusowej wody i możliwość wypoczynku w tak pięknym miejscu rekompensują wszystkie niedogodności.

Łotwa Kieś

W łotewskim miasteczku Kieś, położonym nad rzeką Gaują znajdują się jedne z najpiękniejszych zamkowych ruin w Europie Wschodniej. Twierdza została wzniesiona w XIII w. przez zakon kawalerów mieczowych i należała do jego najważniejszych ośrodków jako oficjalna rezydencja mistrzów. Poza ruinami turystom udostępniono przepiękny park z krętymi ścieżkami oraz egzotyczną roślinnością.



57°19'N 25°16'E

Kieś znajduje się ok. 100 km na zachód od Rygi, a podróż samochodem zajmuje niecałe 2 godziny.

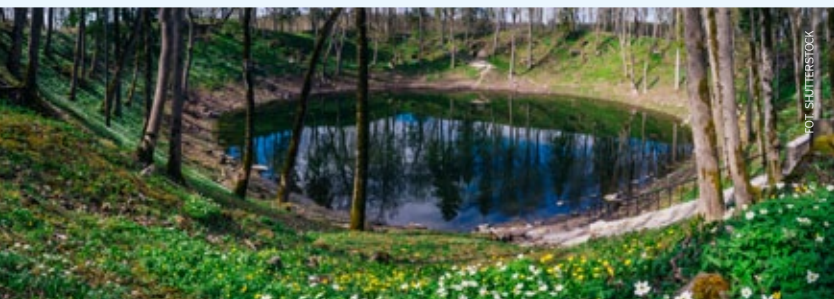
Estonia Kaali

Do atrakcji Saremy, największej estońskiej wyspy, należy niemal idealnie okrągłe jezioro Kaali. Początkowo naukowcy sądzili, że jest to wypełniona wodą kaldera wulkanu. Z czasem okazało się jednak, że ponad 7 tys. lat temu w Saremę uderzył duży meteoryt. Moc jego wybuchu porównuje się z siłą bomby jądrowej. Pamiątką po tym zdarzeniu jest kilka kraterów, z których Kaali jest największy – ma ponad 100 m – i jako jedyny wypełniony wodą. Archeolodzy odkryli także ślady świadczące o tym, że odbywał się tutaj rytuał składania ofiar.



58°22'N 22°40'E

Żeby dostać się na Saremę, trzeba dopłynąć płatnym promem na wyspę Muhu, a z niej przejechać po długiej grobli.



Litwa Wzgórze Czarownic



55°32'N 21°06'E

Na półwysp można przepłynąć promem z Kłajpedy (oddalonej o 17 km).

Zdaniem Wirtualnej Polski wypoczynek na Mierzei Kurońskiej, wąskim półwyspie w południowo-wschodniej części wybrzeża Morza Bałtyckiego, warto urozmaicić wizytą na Wzgórzu Czarownic. Atrakcja znajduje się w pobliżu miejscowości Juodkrantė i obejmuje kolekcję unikalnych, drewnianych rzeźb. Nietypowy park powstał w 1979 r. i do dziś zgromadził ok. 70 eksponatów. Inspiracją dla większości z nich były litewskie legendy i podania ludowe.

Łotwa Ventas Rumba



56°58'N 21°58'E

Główną atrakcją miasta Kuldīga w zachodniej Łotwie są Ventas Rumba, czyli wodospady na rzece Windawie, które należą do najszerszych w Europie. Woda rozciąga się tu na przestrzeni od 249 do 270 m (podczas wiosennych roztopów). Kąpiel jest możliwa, jednak na własną odpowiedzialność – nie ma tu strzeżonych kąpielisk.

Białoruś Kościół św. Szymona i św. Heleny w Mińsku

Stolica Białorusi kryje interesującą atrakcję – kościół św. Szymona i św. Heleny, zwany czerwonym kościołem. Neoromańska budowla, która jest centrum życia religijnego, społecznego i kulturalnego mińskich katolików, ma kilka polskich akcentów. Mury kościoła zbudowano z cegły sprowadzonej spod Częstochowy, marmury wewnątrz przyjechały spod Kielc, a dachy pokryto dachówką z Włocławka.



53°53'N 27°33'E

W Mińsku działa szeroko rozwinięta komunikacja miejska: metro, autobusy, trolejbusy, tramwaje oraz mikrobusy.



Ukraina Hydropark w Kijowie

Hydropark to obszar rekreacyjny ukraińskiej stolicy, położony na dwóch wyspach nad Dnieprem. Oferuje warunki do plażowania, uprawiania sportów wodnych, gry w tenisa, paintball czy piłkę nożną. Park otwarto w 1968 r. i dziś moż-

na natknąć się na niedziałające i opuszczone kolejki, karuzele, wagoniki. Szczególne wrażenie robią latem, gdy na pobliskich plażach wypoczywają tłumy Ukraińców. Ciekawym miejscem jest też centrum fitness, które oferuje niezwykle sprzęt z epoki sowieckiej.



50°26'N 30°34'E

Kijowska komunikacja miejska jest bardzo dobrze zintegrowana: 35 linii tramwajowych, 40 linii trolejbusowych i mnóstwo połączeń autobusowych.

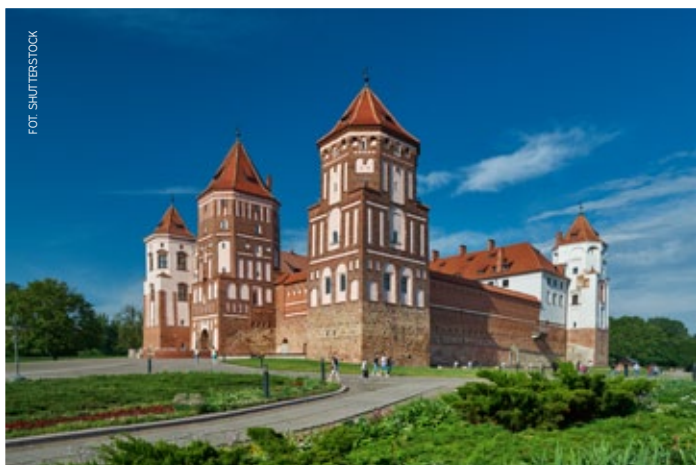
Białoruś Zespół zamkowy w Mirze

Wpisany na listę UNESCO kompleks zamkowy w Mirze powstał na przełomie XV i XVI w. Gotycką budowlę przebudowano następnie w stylu renesansowym, dodając pałac wzdłuż wschodnich i północnych ścian. Zamek był kilkakrotnie niszczony, ale zawsze udawało się go odbudować. Kompleks obejmuje także park.



53°27'N 26°28'E

Wszystkie autobusy z Mińska w kierunku Nowogródka, Diatłowa, Lidii czy Korelic zatrzymują się w Mirze.



Narty na wulkanie



Góra Wdźar w Kluszkowcach to nietuzinkowe miejsce. Jest zbudowana z andezytu, skały magmowej, dlatego miejscowi nazywają ją wygasłym wulkanem. Na jej zboczach rośnie paprotka rozrzutka brunatna (to jedyne jej stanowisko w Polsce), mają miejsce anomalie magnetyczne, wypływają źródła o charakterystycznym zapachu siarki oraz znajdują się dwa malownicze kamieniołomy. Do tej pory trwają spory między kartografami, do jakiego pasma górskiego zaliczyć Wdźar – do Pienin czy może do Gorców? Jedno jest pewne: to miejsce jest jedyne w swoim rodzaju.

Znajduje się tu ośrodek narciarski Czorsztyn-ski, który oferuje różnorodne trasy narciarskie, obsługiwane przez 8 wyciągów (w tym 2 koleje linowe). Do kompleksu należą również 3 restauracje, serwis i wypożyczalnia sprzętu narciarskiego, szkoła dla osób początkujących, bezpłatny parking. Czorsztyn-ski specjalizuje się również w organizacji zawodów narciarskich dla firm, szkół, klubów lub innych organizacji.

A co najważniejsze – w trakcie zabawy na śniegu można podziwiać przepiękne widoki na Tatry, Pieniny, Gorce i Jezioro Czorsztyńskie.

www.czorsztyn-ski.com.pl



49°27'N 20°19'E

Z Nowego Targu do Kluszkowic kilka razy dziennie kursuje autobus. Odległość dzieląca te miejscowości to 20 km.

Wyprawa w Górkki

Niedaleko Brennej, u wylotu doliny Brennicy w Beskidzie Śląskim znajduje się wioska Górkki Wielkie. To miejsce dla osób ceniących spokój i ciszę, dla których bliskość natury to priorytet podczas wypoczynku. Lokalizacja i krajobraz mogą przyciągnąć nie tylko miłośników samotnych podróży, ale również rodziny z dziećmi. Ciekawą propozycją jest ścieżka przyrodniczo-dydaktyczna Góra Bucze, składająca się z sześciu odcinków – każdy z nich przedstawia charakterystyczne, występujące na tym obszarze zwierzęta i rośliny. Okolica jest pełna różnorodności historycznych, a także kulinarnych. Kuchnia bazuje tylko na świeżych, regionalnych i sezonowych produktach. Sąsiednie miejscowości prócz szlaków i wyciągów górskich mogą poszczycić się licznymi zabytkami.

W Górkach Wielkich można się zatrzymać w Malinowym Wzgórzu, które oprócz noclegów i wyżywienia oferuje wycieczki „Doliną Brennicy”, „Na pstrągi” i „Do Chaty Chlebowej” – wozem lub saniami w zaprzęgu konnym.



49°46'N 18°50'E

Przez Górkki Wielkie kursują autobusy Transkom Skoczów i busy Linea Trans do Brennej, Cieszyna i Skoczowa.



ZA NAMI:



LIGA POLSKIEGO STOWARZYSZENIA
 NORDIC WALKING

WYPRAWA DO EGIPTU

Nordic Walking to doskonała forma turystyki aktywnej, którą można uprawiać wszędzie i o każdej porze dnia i nocy. Udowadniają to osoby biorące udział w wydarzeniach ligowych Polskiego Stowarzyszenia Nordic Walking. W ostatnim czasie odbyła się „Wyprawa Nordic Walking do Egiptu”, w której wzięło udział prawie 600 uczestników! Egipt – choć zapewne nie wszyscy o tym wiedzą – to niewielka osada w woj. łódzkim.

Celem było nie tylko przejście 4 lub 8 km trasy, ale przede wszystkim zapoznanie się z prawidłową techniką nordic walking pod okiem wykwalifikowanych instruktorów. Do końca roku można wziąć udział jeszcze w kilku wydarzeniach ligowych. Podczas każdej imprezy Regatta zapewnia nagrody, m.in. vouchery zakupowe.

ZAPOWIEDŹ

TARNOWSKA DYSZKA ROZGRZEJMY JESIEŃ!



Tour de Małopolska 2017 to cykl imprez biegowych dla każdego, wspieranych przez Regatta RUSZ SIĘ! Dotychczas odbyły się biegi w Myślenicach, Liszczach i nad Jeziorem Rożnowskim. Uroczyste zakończenie cyklu będzie miało miejsce w Tarnowie 5 listopada. Odbędzie się tam „Tarnowska dyszka”, profesjonalny bieg ulicami Tarnowa na dystansie 10 kilometrów. Ciekawa trasa i wspaniała atmosfera pomagają w szybkim bieganiu!

9. PODKARPACKI KALEJDOSKOP PODRÓŻNICZY

PRELEKCJE ZE ŚWIATA W RZESZOWIE

ZAPOWIEDŹ



W dniach od 3 do 5 listopada w Rzeszowie odbędzie się Kalejdoskop Podróżniczy, zwany Festiwalem Kultur Świata. To największa impreza podróżnicza w województwie podkarpackim! Wśród zaproszonych prelegentów są m.in.: Aleksander Doba, Marek Arcimowicz, Marcin Korzonek i Piotr Strzeżysz. Nie zabraknie także licznych konkursów dla publiczności z nagrodami od Regatty!

NA JED

FOT. SHUTTERSTOCK





WABNRYM SZLAKU

Agnieszka Mikulec



W 1983 r. to miasto obchodziło swoje 2000-lecie, ale już kilka lat później, po nowych odkryciach archeologicznych, okazało się, że liczy 2200 lat. Taszkent, starożytne miasto kupieckie Azji Środkowej, swój rozwój zawdzięczało położeniu na Jedwabnym Szlaku, ciągnącym się od Chin do Morza Śródziemnego.

TU SPOCZYWA KORAN USMANA

W skład kompleksu religijnego Hast Imam w Taszkencie wchodzi meczety, medresy oraz mauzoleum. Najważniejszym eksponatem jest tu Koran Usmana – jedna z pierwszych kopii świętej księgi muzułmanów.

Po przyjeździe do stolicy Uzbekistanu od razu widać, jak mieszają się tu czasy i style. Malownicze starożytne medresy, mauzolea i meczety – z szarymi śladami socrealizmu, takimi jak poradzieckie teatry, kina, hale sportowe, bloki i szkoły. A do tego współczesne „szklane domy” – wieżowce biznesu oraz budynki administracji państwowej. W centrum można też zobaczyć cerkiew oraz kościół katolicki, prowadzony przez polskich franciszkanów.

MIASTO NISKICH MINARETÓW

Turyści najczęściej udają się tam, gdzie w jasnych promieniach słońca (Taszkent jest nawet nazywany miastem słońca, które świeci

tutaj około 300 dni w roku) błyszczą kopuły meczetu Piątkowego oraz zaprasza medresa Kukeltasz z dużym atrium i salkami lekcyjnymi. Swoje podwoje otwiera też, ukryty wśród radzieckiej zabudowy, kompleks Hawendi Tachura, który składa się z trzech mauzoleów. W Maroku byłam pod wrażeniem wysokości minaretów, w Taszkencie natomiast są one zadziwiająco niskie. Szybko znalazłam na to odpowiedź – nie są wysokie ze względu na teren sejsmiczny, na którym stoją.

Kiedyś obudziły mnie silne poruszenia łóżka. Natychmiast wyskoczyłam z niego i poczułam, że cała podłoga się trzęsie. Wyjrzałam przez okno z mieszkania dziewięciopiętrowego bloku i zobaczyłam kilkoro wybiegających z domu ludzi. Wbrew wcześniejszym zaleceniom znajomych nie stanęłam pod framugą drzwi, tylko szybko się ubrałam, wzięłam paszport oraz telefon i wybiegłam. Na zewnątrz nie czułam już nic. Trzęsienie ustało. Udałam się więc do sąsiadującego z blokiem parku, usiadłam pod drzewem i zajęłam się obserwacją. Życie wkoło toczyło się



FOT. BMARVA33 - SHUTTERSTOCK

jak gdyby nigdy nic – milicjanci nadal zatrzymywali kierowców do kontroli, kobieta zapytała mnie o przystanek najbliższego autobusu, ludzie wracali z bazaru z wypchanymi siatkami. Uzbegy doświadczają przecież trzęsień ziemi co najmniej 2–3 razy w roku.

Przypomniał mi się wtedy wiersz Miłosza: „Kobiety idą polem pod parasolkami. Pijak zasypia na brzegu trawnika. Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa (...) Innego końca świata nie będzie”.



WENECJA AZJI

Gdyby nie woda, nie byłoby Tashkent. Kiedy dowiaduję się, że to nie rzeka przecina miasto, tylko sieć kanałów zaprojektowana ponad dwa tysiące lat temu, wówczas doceniam kunszt starożytnych architektów i budowniczych. Życiodajny płyn pochodzi z rzeki Chirchik, która 38 km od miasta wpływa do czterech głównych kanałów, a te z kolei rozgałęziają się na dziesiątki mniejszych. Część z nich płynie pod powierzchnią, inne można podziwiać w wielu miejscach stolicy. Woda przybiera często niezwykle, turkusowy kolor.

Spaceruję wzdłuż kanałów, nad głową mam kopuły drzew, odnajduję różne uroczyska. Takie miejsca są wykorzystywane przez właścicieli herbaciarni, gdzie chętnie odpoczywają Uzbegy, popijają aromatyczny trunek, jedzą szaszłyki czy *plow* (potrawę, której głównym składnikiem jest ryż z dodatkiem warzyw, kawałków mięsa i przypraw). Mieszkańcy siadają na tapczanach w czajchanach, które wychodzą często wprost nad wodę. Trzeba oczywiście ściągnąć buty, gdyż *czajchany* są wyłożone dywanami.

W niedzielne popołudnie, skuszona nazwą miejsca, udaję się do niewielkiej dzielnicy, którą nazywają Tashkencką Wenecją. Przemierzam uliczkę wzdłuż kanału, nad

którym rozciągają się drewniane kładki. W wodzie przeglądają się, budowane starą metodą, gliniane domy, koguty poszukują jedzenia, obok jakiś chłopiec pogania niewielkie stado baranów. Mniejsze uliczki tworzą labirynt, w którego głąb się zapuszczam i podglądam podwórka przez lekko uchylone bramy. Mimo widocznego zaniedbania ta część stolicy ma swój niepowtarzalny urok osady zatrzymanej w czasie.

Życiodajna woda pozwala nazwać Tashkent również miastem parków i ogrodów, które zaczynają się zielenić już wczesną wiosną. Drzewa stroją się wtedy w białe i różowe kwiaty, prawie jak w Kraju Kwitnącej Wiśni. Dywany fiołków rozciągają słodki aromat, a mieszkańcy jakby częściej uśmiechają się do siebie. Natomiast jesienią liście przybierają żółto-brązowe barwy i z wdziękiem opadają na ziemię wraz z kasztanami i żołędziami, które ludzie zbierają w celu przerobienia na paszę dla zwierząt.

NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ

Tashkent to miejsce wielu galerii i muzeów. Nic więc dziwnego, że wiosną (od 18 do 22 kwietnia) odbywa się tutaj

GADANIE W CZAJCHANIE

Niezwykłe położenie czajchanów nad wszechobecnymi w mieście kanałami sprzyja rozmowom w miłej atmosferze. Niektóre z herbaciarni są dostępne wyłącznie dla mężczyzn.

CZAPECZKOWE DZIEWCZYNKI

Wzory, kolory i symbole na czapczkach – tiubietkach są bardzo różnorodne, a także zależne od regionu, z jakiego pochodzą. Młodzi Uzbekcy i Uzbekki noszą je głównie w czasie świąt narodowych.

OAZY W MIEŚCIE

W suchym klimacie Uzbekistanu i przy wysokich letnich temperaturach fontanny to nie tylko element ciekawy architektonicznie, ale również źródła ożywczego chłodu.

Festiwal Sztuki. Profesjonalni artyści zostają zaproszeni do wystawiania swoich prac w dwukondygnacyjnym Głównym Pawilonie Wystawienniczym. Jednak dużo więcej życia, artystycznej energii, choć w amatorskim wykonaniu, można poczuć pod arkadami okalającymi gmach, na trawnikach wokół budynku, w sąsiadującym obok parku.

Uczniowie i studenci szkół artystycznych rozkładają tu swoje sztalugi, przygotowują kompozycje z martwą naturą, ustawiają modeli w wystylizowanych pozach i epokowych strojach. Z zapałem malują. Inni lepią z gliny rzeźby, elementy sztuki użytkowej, co

subtelnościach sztuki. Duże zainteresowanie wzbudza student lepiący popiersie zmarłego w 2016 r. prezydenta Uzbekistanu Islama Karimowa, o którym pamięć jest wciąż żywa.

Wielu turystów gromadzi się wokół dziewcząt pilnie pracujących nad *suzanne* – to haftowane kolorowymi nićmi, przeznaczone na ścianę tkaniny. Całe feerie barw, roślinne i geometryczne kształty, zróżnicowane kombinacje przyciągają oko nie tylko formą, lecz także wielkością. Największe *suzanne* mają długość 2–3 m i szerokość do 2 m.

Gdzieś w kącie, pod arkadami, czają się do ostatecznej rozgrywki przepięknie wyrzeźbione i pomalowane figury szachowe. Ja natomiast odnajduję siedzącego pod drzewem starszego pana i kupuję od niego ręcznie malowane tytkwy, którymi później zachwycają się moi znajomi.

**NA BAZARZE
W DZIEŃ TARGOWY**

w efekcie stanie się ceramicznym cudem, które chętnie kupią turyści. Często wywożoną z Uzbekistanu pamiątką jest na przykład piękny, ręcznie robiony, ceramiczny talerz.

Dołączam do młodych chłopców i tworzę pierwszą w moim życiu glinianą różę, a młodzi z przyjemnością opowiada mi o wielu

Spośród wielu bazarów rozsiansych w różnych dzielnicach miasta najbardziej lubię robić zakupy na najstarszym i najsłynniejszym bazarze Chorsu. Często, po zaopatrzeniu się w świeże i smaczne produkty warzywno-owocowe, siadam przy stoliku jednego z tutejszych barów pod drzewami, który nazwałam Pod Spadającymi Liśćmi. Geneza nazwy wiąże się z doświadczeniem pewnego jesiennego dnia, kiedy delikatny wiatr wprawiał



FOT. AGNIESZKA MIKOŁAJCZAK



FOT. AGNIESZKA MIKOŁAJCZAK

w wir drobnitki listki kończące swój taniec w promieniach ciepłego słońca na stolikach i głowach jedzących szaszłyki klientów.

Bazar to świetne miejsce, aby chłonąć zwyczajne, codzienne życie Taszkentu. A to pocujemy zapach smażonych na ulicy szaszłyków, a to usłyszymy sprzedawców nawołujących do zakupu towarów, zobaczymy też mężczyznę niosącego na głowie metrową tacę z hot dogami czy starszych Uzbeków w tradycyjnych strojach i tiubietijkach na głowach. Na Chorsu można kupić praktycznie wszystko. Mieszkańcy miasta zaopatrują się tutaj w produkty codziennego użytku, a turyści szukają ceramicznych i drewnianych pamiątek, kolorowo haftowanych torebek, naturalnie suszonych na słońcu owoców.

W okrągłym, dwukondygnacyjnym budynku, zwieńczonym kopułą ozdobioną tradycyjnymi wzorami, można degustować migdały, rodzynki, lukrowane pistacje, a także *kazy* (kielbasa z koniny; robi się z niej pyszny *narin*, czyli potrawę z zimnego makaronu i pokrojonej w plasterki kielbasy, a wszystko popijane bulionem). Jednym z ulubionych

W POGONI ZA SZTUKĄ

Tam, gdzie życie miesza się ze sztuką, dominuje radość tworzenia – tak jest właśnie na Festiwalu Sztuki w Taszkencie. Pomnikowy biegacz z brązu także dąży w kierunku sztuki.



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



R E K L A M A

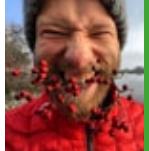
przysmaków tubylców są małe, słone, serowe kulki. To słynny *kurt* zrobiony z suzmy (coś w rodzaju serka homogenizowanego) i soli. Są dwa sposoby suszenia kurta: na słońcu i w cieniu. Ważne jest, aby oba miejsca były przewiewne. *Kurt* ze słońca będzie bardziej suchy i twardy, ten z cienia wychodzi bardziej miękki i delikatny.

Na Chorsu w Taszkencie panuje specyficzny klimat. Może nawet coś z atmosfery owego handlu przed wiekami, kiedy wędrujący przez Taszkent kupcy zatrzymywali się, aby sprzedawać lub wymieniać towary. Potem podążali dalej tysiącletnim Jedwabnym Szlakiem, aż do odległej Europy. ◯



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróżach nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.



KAPIEL W LESIE

Niektóre z nich to bezcenne, pierwotne kompleksy o ogromnym zróżnicowaniu gatunkowym. Jeśli chodzi o średnią dla całej Ziemi, wynik jest dużo niższy i wynosi 31 proc. Połowę lasów zniszczyliśmy w przeciągu ostatnich 10 tys. lat, ale większość z tej połowy padła przez minione 50 lat. Obecnie każdej minuty wycinamy w pień powierzchnię lasu rozmiaru, który odpowiada 36 boiskom piłkarskim.

W 1990 r. istniało tylko dziesięć megamiast, których populacja przekraczała 10 mln ludzi. Obecnie jest ich 28, a do 2030 r. będzie ich 41. Do 2050 r. w miastach będzie żyło 66 proc. ludzi. Dostęp do natury, a w szczególności lasów, staje się coraz trudniejszy. Według badań angielskiej organizacji The Woodland Trust zaledwie 14 proc. obywateli Zjednoczonego Królestwa ma łatwy dostęp do drzew, czy to w formie parków, czy lasów. Jednym z efektów tej sytuacji jest to, że zaledwie jedno na dziesięć brytyjskich

dzieci bawi się w parkach i lasach w porównaniu do czterech na dziesięć w przypadku pokolenia ich rodziców. Problem, także zdrowotny, stał się na tyle duży, że Richard Louv, autor książki „Ostatnie dziecko w lesie” ukuł termin „zaburzenie braku kontaktu z przyrodą”, a NHS (brytyjski odpowiednik polskiego NFZ) szacuje, że co roku mógłby zaoszczędzić na leczeniu pacjentów 2,1 mld funtów, gdyby każdy Brytyjczyk miał dostęp do terenów zielonych.

Japończycy zrozumieli to już w latach 80., kiedy stworzyli termin *shinrin-yoku*, dosłownie oznaczający „wdychanie leśnej atmosfery”, ale częściej

Zamiast łykać tabletki, wykąp się w lesie. Poradzisz sobie ze stresem, poprawisz nastrój i zwalczysz depresję.

Turyści odwiedzający japońskie lasy są zapraszani przez strażników leśnych do kabiny. Tym, którzy zaproszenie przyjmą, przed wejściem do lasu i po wyjściu z niego mierzy się ciśnienie krwi. Zwykle okazuje się, że spacer je obniża. Badania strażników leśnych to część projektu, który ma zweryfikować

przypuszczenia japońskich naukowców o pozytywnym wpływie lasów na zdrowie. Badania są prowadzone wśród 44 specjalnie wyznaczonych kompleksów, w których Japończycy zażywają tzw. leśnych kąpiei.

Choć Japonia kojarzy się najczęściej z ultranowoczesnymi miastami, to lasy pokrywają 67 proc. powierzchni kraju.

FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

tłumaczony jako „kąpiel w lesie”. Tomohide Akiyama, ówczesny dyrektor tamtejszych Lasów Państwowych wymyślił ten termin, żeby zareklamować japońskim wizyty w lasach. Jego ruch był raczej wynikiem intuicji niż decyzji popartej badaniami, że wizyta w lesie dobrze wpływa na ciało i umysł. Jego przeczcucie zostało zweryfikowane dopiero osiem lat później, kiedy dr Yoshifumi Miyazaki z Uniwersytetu w Chiba przeprowadził niewielkie badania w lesie Yakushima, jednym z najstarszych i najcenniejszych w kraju. Okazało się, że 40-minutowy spacer w lesie poprawiał badany nastrój, dawał im poczucie witalności oraz obniżał poziom kortyzolu, hormonu stresu we krwi. Żaden ze spacerów kontrolnych przeprowadzonych w laboratorium nie dawał takich wyników. Naukowcy zdecydowali bliżej przyrzeć się lasom i ich wpływowi na zdrowie psychiczne i fizyczne ludzi.

W latach 2004–2013 japoński rząd przeznaczył cztery miliony dolarów na badania, które zostały przeprowadzone w różnych lasach na próbie tysiąca osób. Dzisiaj dysponujemy ponad stu różnymi badaniami dotyczącymi kąpiele w lesie, których wyniki pokazują, że dzięki *shinrin-yoku* o 1,4 proc. spada ciśnienie krwi, o 5,8 proc. – puls, o 12,4 proc. – poziom kortyzolu oraz o 7 proc. – aktywność układu współczulnego, części układu nerwowego. Kąpiele mają także korzystny wpływ przy leczeniu depresji, poprawiają jakość snu, samopoczucie, zwiększają poczucie siły, podnoszą poziom energii oraz redukują napięcie, złość i zmęczenie. Dla porównania badania były przeprowadzone w takich samych warunkach pogodowych, zarówno w lasach, jak i w miastach. Okazało się, że spacer w mieście nie wpływa pozytywnie na ludzi, a wystarczy 20 minut w lesie, żeby poczuć się zrelaksowanym. Godzinny spacer w takim terenie powodował wzrost kreatywności i większą świeżość umysłu.

Kąpiele w lesie stały się w Japonii tak popularne, że co roku obszary leśne, które uzyskiwały status *shinrin-yoku*, są odwiedzane nawet przez pięć milionów turystów. Po całym kraju są rozsiane 44 takie sanktuaria, a agencje rządowe pracują nad tym, żeby było ich sto.

Shinrin-yoku nie jest wymagające. Nie polega na bieganiu po lesie sprintem czy

wymagającym trekkingu w górskich, krystalicznie czystych partiach lasu. Wręcz przeciwnie, opiera się na spokojnym, powolnym spacerze, w trakcie którego osiąga się stan spokoju i relaksu, zbliżony do tego osiąganego w trakcie medytacji. Chodzi o to, żeby odbierać las każdym z pięciu zmysłów: zaciągać się powietrzem, słuchać odgłosów lasu, przypatrywać się teksturze kory drzew i kolorom, można zjeść to, co do jedzenia się nadaje, np. jagody, zioła, napić się wody ze źródła, wziąć w ręce ziemię, dotknąć liści i drzew. To pełne zanurzenie zmysłów, stąd mówi się o kąpiele w lesie.

„Przez dziesiątki tysięcy lat nasi przodkowie niemal 99,9 proc. czasu spędzali w środowisku naturalnym. Funkcje fizjologiczne naszego organizmu, które się wtedy kształtowały, są wynikiem adaptacji do tych warunków. Stąd np. poczucie komfortu może być wynikiem obecności w takim środowisku” – tłumaczy Yoshifumi Miyazaki.

Nasze zachowania i potrzeby, które są odbiciem czasów ewolucji, oraz przystosowanie mózgu na pewno mają tu duże znaczenie, ale dr Qing Li ze Szkoły Medycznej Nippon w Tokio badał jeszcze jeden ważny element.

Przez dwa lata zabierał do lasu grupę biznesmenów w średnim wieku. Przez trzy dni, codziennie rano i wieczorem udawali się na leśny trekking. Po powrocie do miasta zbadano im krew i okazało się, że mają o 40 proc. wyższy poziom komórek NK niż przed rozpoczęciem badań. Miesiąc po zakończeniu wycieczki poziom NK nadal był wyższy od pierwotnego, tym razem o 15 proc.

Komórki NK to tzw. naturalni zabójcy, komórki systemu odpornościowego z pierwszej linii oporu, które zwalczają atakujące nas wirusy i choroby. Co powoduje ich wzrost? Li podejrzewał, że chodzi o fitoncyny, naturalne substancje wydzielane przez niektóre rośliny, np. cebulę, czosnek, chrzan, por i rzodkiew, o działaniu bakteriobójczym, grzybobójczym, pierwotniakobójczym lub hamującym procesy życiowe drobnoustrojów. Fitoncyny wydzielają także drzewa, m.in. po to, żeby bronić się przed insektami, grzybami albo innymi niechcianymi gośćmi. Niektóre mogą mieć relaksacyjny wpływ na ludzki mózg, inne będą go pobudzać, obniżać poziom stresu, redukować niepokój, podnosić

wytrzymałość na ból, a jeszcze inne – wspomagać odporność organizmu przez wpływ na produkcję komórek antyrakowych oraz komórek NK. Doktor Li skupił się na fitoncynach wydzielanych przez gatunek tamtejszego cyprysa – hinoki.

Żeby udowodnić działanie fitoncynów, Li rozpylił je w pokojach jednego z hoteli. Po trzydniowym pobycie w „zainfekowanym” pokoju gościom zmierzono poziom komórek NK we krwi. Okazało się, że było ich o 20 proc. więcej w porównaniu ze stanem sprzed badania. W grupie kontrolnej, gdzie fitoncyny nie zostały rozpylone, pozytywnych rezultatów nie odnotowano. Kolejnymi badaniami Li udowodnił, że weekendowa wycieczka *shinrin-yoku* i spacer o długości przynajmniej dwóch i pół kilometra dziennie podnoszą poziom komórek NK na około miesiąc. Działa nawet jednodniowa wycieczka tego typu, która wpływa pozytywnie na ilość komórek NK przez kolejny tydzień.

Zdrowotne korzyści takich spacerów stały się na tyle oczywiste, że w ślad za Japonią idą kolejne kraje. Korea Południowa zainwestowała 140 mln dolarów w stworzenie Narodowego Centrum Terapii Lasem, swoje sanktuaria do *shinrin-yoku* tworzą Tajwan i Finlandia, specjalne ścieżki bazujące na japońskich doświadczeniach powstały także we Francji, Luksemburgu i Szwecji.

W Japonii *shinrin-yoku* powoli staje się częścią głównej gałęzi medycyny, firmy zaczynają włączać terapię lasem w pakiety zdrowotne dla swoich pracowników. W USA dr Robert Zarr od 2013 r. wypisał setki recept, zalecając swoim pacjentom, głównie młodym astmatykom oraz osobom cierpiącym na nadwagę, ruch w terenie zielonym. W Nowej Zelandii podobne recepty wypisuje ponad 80 proc. lekarzy. W Walii lekarze przepisują leśne spacery jako lek wspomagający walkę z depresją i chorobami serca. W Polsce *shinrin-yoku* jest praktycznie nieznane. ○

Lukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

KOLOROWY ZAWRÓT GŁOWY

Szwajcaria słynie przede wszystkim z czekolady, ale w zuryskich cukierniach można też dostać pyszne makaronyki. Smaki tego sezonu to szampan i słony karmel.

ZURYCH NA ZĄB

Magdalena Żelazowska

Kiedy wysiadam na dworcu Zürich Hauptbahnhof, zbliża się trzynasta. Po porannym locie jestem już porządnie głodna – alpejska czekolada serwowana na pokładzie SwissAir tylko rozbudziła mój apetyt. Wygląda jednak na to, że znalazłam się w odpowiednim miejscu.

W każdą środę w hali dworca odbywa się targ kulinarny. Z peronu wychodzę wprost na stoiska, gdzie piętrzą się specjały z całej Europy: szwajcarskie sery, węgierskie przyprawy, włoskie szynki. Wszystkiego można spróbować na miejscu, przy jednym z zatłoczonych stołów. Tak jest tu co tydzień, ale mnie trafia się coś specjalnego: właśnie trwa festiwal Food Zürich. 10 dni kulinarnej uczty i 140 wydarzeń przygotowanych z myślą o najwybredniejszych łasuchach. Zapowiada się spore wyzwanie. Zaczę więc od spalenia paru kalorii.

KRÓTKI KURS DZIAŁKOWCA

Zurych jest stworzony do tego, żeby zwiedzać go na rowerze, zwłaszcza w towarzystwie dobrego przewodnika. Mój to Jeremy, pełen pasji student ochrony środowiska, który obwozi naszą kilkusobową grupkę szlakiem miejskich ogródków. To dobra okazja, by w czasach kulinarnego szaleństwa, które zawładnęło światem, przypomnieć sobie, że jedzenie nie bierze się ze sklepowej półki, tylko z ziemi. Hasło tej edycji festiwalu Food Zürich to Vörigs (resztki), czyli dania przyrządzone z tego, co nam akurat zostało. Organizatorzy chcą zwrócić uwagę na globalny problem marnowania

TURICUM W ZURYCHU

Schiffle, dzielnica na wschodnim zboczu wzgórza Lindenhof, to najstarsza część miasta, w czasach rzymskich zwana Turicum. Dawniej mieścił się tu port i punkt poboru podatków.





żywności – codziennie na świecie jest wyrzuca-
na jedna trzecia, podczas gdy miliony głodują.

– *Ziemia nie potrzebuje większej produk-
cji żywności, bo według WHO jesteśmy w stanie
wyżywić nawet 14 miliardów ludzi – tłumaczy
Jeremy. – Problemem jest niesprawiedliwa dys-
trybucja dóbr, kontrolowana przez
największe korporacje spożywcze.
Myślicie, że masowa produkcja
żywności jest tania? Użycie nawo-
zów i maszyn sprawia, że do wy-
produkowania 1 kalorii żywności
potrzeba ich zużyć aż 10. A prze-
cież ludzie mogliby robić wszystko
własnymi rękami.*

„Może i tak, ale nie miesz-
czuchy” – uśmiecham się w my-
ślach. Pierwszy przystanek na
naszej trasie wyprowadza mnie
z błędu. Jesteśmy w Zürich West,
dawnej dzielnicy przemysłowej,
która przeżyła renesans
i przekształciła się w centrum
nowoczesnej architektury. Ale
Labyrinthplatz, ukryty między
kamienicami ogródek w kształ-
cie ślimaka, przypomina wiry-
darz średniowiecznego klasz-
toru. Piaskowe alejki kręcą się
wśród ziół, kwiatów i pnączy
oplatających pergole. Od razu
widać kobiecą rękę – ogródek
założyło kilka pań z okolicy.
Na zatopionej w zieleni ławeczce
Jeremy rozstawia kamionkowe

PO SĄSIEDZKU

Z jednej strony
wieżowce, z drugiej
pomidory pnące
się na sznurkach.
W Zurychu sąsiedzkie
ogródki obok
bloków zapewniają
mieszkańcom zdrowy
relaks po pracy.

kubeczki i napełnia je herbatką z ziół zebra-
nych w ogródku. Zaskakująco aromatyczna!

Lokalne przysmaki czekają na każdym
przystanku. Tu słodkie gruszki od Włocha,
który między blokami komunalnymi stworzył
miniaturę śródziemnomorskiej farmy, tam
chrupiące ogórki z ogródków sąsiedzkich. Zie-
lone oazy wyrastają w najmniej spodziewanych
miejscach, w ciasnych podwórkach lub w cie-
niu wysokościowców. Miejskich działek ist-
nienie w 400-tysięcznym Zurychu 6 tys., a lista
chętnych jest znacznie dłuższa. Rozwiązaniem
dla spragnionych zieleni są ogródki osiedlowe,
które można uprawiać wspólnie z sąsiadami.
Wystarczy krok i z centrum miasta przechodzi
się do serca wsi: szklarnie, konewki, główki
sałaty, swojskie brzęczenie owadów. I studnie –
w końcu Zurych to miasto wody.

Nie chodzi tylko o położenie nad zja-
wiskowym Jeziorem Zuryskim. Ani o dwie
rzeki, Limmat i Sihl, w których mieszkańcy
kąpią się w przerwie na lunch ze służbowymi



FOT. MARGALITA ZELAZOWSKA

ciuchami zapakowanymi do zarzucanych na plecy nieprzemakalnych toreb. W mieście jest też ponad 1200 fontann, które można nie tylko podziwiać, ale też się z nich napić. Wodną naturę Zurychu będą kontemplować w Zürich Thermalbad & Spa, w dawnym browarze Hürlimann. Na dachu kompleksu znanego z wód termalnych znajduje się ciepły basen z niesamowitą panoramą miasta. To świetne miejsce, żeby rozgrzać się po deszczu, który zmoczył mnie w mieście wody. Podziwiając widok, zastanowię się, gdzie kontynuować spacer.

ŁOWCY SMAKÓW

Garść gotowych pomysłów ma dla mnie Andrea, przewodniczka odbywających się w ramach festiwalu spacerów Zürich Food Tour. Trzy godziny, sześć kulinarnych przystanków, niezliczone doznania smakowe. Będziemy eksplorować Kreis 5, artystyczne zagłębienie pełne galerii i klubów. Oraz restauracji, których w całym Zurychu jest ponad 2 tys. To miasto kocha jeść i umie to robić z wielką klasą, niezależnie od rodzaju kuchni. Naszą wycieczkę zaczynamy od libańskiej, serwowanej przez restaurację Neni w designerskiej sieci hoteli 25 h. Jedzenie jest jak tutejszy wystrój: proste, praktyczne i absolutnie zniewalające. Niby pita, humus, falafel i *baba ganoush* popite lemoniadą to nic wymyślnego. Ale ja zaniemówiłam, nie tylko z powodu pełnych ust.

Przystanek drugi: degustacja piw z mikrobrowaru w dawnej mydlarni Steinfels. Po drugiej stronie ulicy stoi stara stocznia Schiffbau, w której obecnie mieszczą się restauracja, bar, teatr i sala koncertowa. Menu na dziś: krem z warzyw, tatar i *terrine* z czerwonego kalafiora. Rozpływam się, ale pora iść dalej, bo w Les Halles, oryginalnej knajpce założonej

przez zapalonego miłośnika Francji, czeka francuskie wino i świeże mule, które dwa razy dziennie przyjeżdżają tu z Atlantyku. Po takiej uczcie zmieścimy już tylko przekąski z Zurich Paris, restauracji, która na początku była księgarnią. Dziś nie trzeba już wybierać między świetnym jedzeniem i dobrą literaturą: wystarczy zająć miejsce przy stoliku między

KWIATKI Z RABATKI

Jeszcze kilka lat temu ten placzyk był składowiskiem rupieci. Mieszkańcy oczyścili go ze śmieci, a w skrzynkach i doniczkach posadzili warzywa, zioła i kwiaty. Dziś to popularne miejsce spotkań.



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

regałami pełnymi książek. Na koniec pora na deser. W hali targowej Im Viadukt można spróbować wielu słodkości. Wśród nich węgalskie ekolody o fantazyjnych smakach (wybrałam brzoskwinie z werbeną).

Żałuję, że nie da się ich zabrać na pamiątkę. Do tego celu lepiej nadadzą się *Triggel* – cieniutkie miodowe wafelki z tłoczonymi widoczkami

SER DLA KONESERA

Ser to jeden z flagowych produktów Szwajcarii. Dodaje się go prawie do wszystkiego, na przykład do sosu podawanego razem z *capuns*, czyli gołąbkami tradycyjnymi dla Gryzoni.



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

LADA SPRZED LAT

Sklep kolonialny Schwarzenbach został otwarty w 1864 r. Jak za dawnych lat specjalizuje się w sprzedaży różnorodnych gatunków kawy i herbaty, miodów, marmolad, bakalii, przypraw i suszonych owoców.

z Zurychu. Pod światło wyglądają jak sceny z bajki.

Po nowatorskim wstępie czas na trochę klasyki. Stare miasto w Zurychu skupia się nad Limmatem. Prosto z dworca biegnie Bahnhofstrasse, najdroższy deptak w Szwajcarii. Wystawy butików onieśmielają, w przeciwieństwie do witryn czekoladziarni. Wchodzę i od progu kręci mi się w głowie. Ręcznie robione praliny, czekoladowe bloki z bakaliami,

makaroniki we wszystkich kolorach tęczy. Kupuję małą paczuszkę i uciekam, zanim na dobre stracę zdolność trzeźwego myślenia. Oddalam się w głąb Schipfe, dawnej dzielnicy rybaków, a później kupców spławiających swoje towary rzeką. W małych, uroczych domkach kryją się dziś sklepiki z rękodziełem, często powstałym z recyklingu. Torby z plandek i pasów samochodowych projektu braci Freitag są dziś znane na całym świecie (i odpowiednio kosztują). Podobna mi się też zestaw mebli ze znaków drogowych. Pasowałby do wystroju Cabaret Voltaire, słynnej piwnicy, gdzie w czasie pierwszej wojny światowej artyści zbiegli z całej Europy stworzyli przewrotny dadaizm.

Kilka kroków dalej jeszcze bardziej cofam się w czasie. Działający od ponad 150 lat sklep kolonialny Schwarzenbach, sprzedający przyprawy i suszone owoce z całego świata, wabi przechodniów zapachem. W otwartej witrynie stoi palarka do kawy, roznosząc obłądny aromat po całej ulicy. W tych warunkach po prostu muszę napić się espresso. Przechodzę na drugą stronę ulicy, do Café Schober. Rzut oka na przeszkloną ladę, na której obok starej metalowej kasy piętrzą się słodkości, przesądza, że zamówię też bezę. W stylowych wnętrzach mam do wyboru kilka scenografii, w których popełnię tę kaloryczną zbrodnię: wybieram przytulną czerwoną salę na piętrze.

MIEĆ CZY ZJEŚĆ?

Ta przyjemność odpowiednio kosztuje, jak wszystko w Szwajcarii. Tańszym rozwiązaniem jest Frisch von Gestern (Świeże z wczoraj), sklep, który w myśl idei oszczędzania żywności sprzedaje pieczywo



FOT. MAGDALENA ZŁAZOWSKA



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

z dnia poprzedniego, które nie sprzedawało się w piekarniach i restauracjach. Wypieki są wciąż dobre i znacznie tańsze, co w generalnie drogim Zurychu ma znaczenie. Jeśli jesteś zupełnie bez grosza, sprawdź zawartość specjalnych szafek, które stoją w kilku punktach miasta: z myślą o najbardziej potrzebujących mieszkańcy zostawiają tam niewykorzystane, ale jeszcze przydatne produkty spożywcze.

Troska o obrót jedzeniem zwiększa poziom samowystarczalności miasta. Mimo kilkuset miejskich ogródków Zurych jest w stanie wytworzyć potrzebną dla siebie żywność tylko w jednym procencie. Niewiele, ale część z tego procesu przebiega w urokliwych warunkach. Na terenie miasta działa kilka winnic. Z położonej na wzgórzu Sonnenberg roztacza się widok, który odurza równie mocno jak zawartość kieliszka. Warto skosztować, bo szwajcarskie wino trudno kupić za granicą. Szwajcarzy wytwarzają go akurat tyle, żeby starczyło na ich potrzeby, nie zaprzatając sobie głowy masową produkcją.

Zupełnie nie masowo, za to bardzo tradycyjnie zjemy w restauracji Zunfthaus zur Waag, mieszczącej się w kamienicy, której historia sięga 700 lat. Na kolację obowiązkowo zuryska specjalność: *Zürcher Geschnetzeltes* – cynamidki w sosie śmietanowo-pieczarkowym i *Rösti* – smażony placek z grubo tartych ziemniaków. Delikatne, opływające aksamitnym sosem mięso wspaniale współgra z chrupkością ziemniaków. Na deser czekoladowy mus autorstwa cenionego polskiego cukiernika Wojciecha Grzejszczyka (jego nazwisko musi być dla lokalnych torturą).

Czy Zurych ma jakieś minusy? Z pewnością należą do nich wysokie ceny, na które narzekają sami mieszkańcy. Większości miejscowych nie stać na zakup własnego mieszkania: 90 proc. z nich decyduje się na wynajem. Kiedy patrzę na zachód słońca nad jeziorem, nad którym górują kościelne wieżyczki i ośnieżone szczyty Alp, jakoś nie bardzo im współczuję. W takiej scenarii zamiast mieć ciastko, wolałabym je zjeść. ○

A LA FRANÇAISE

Wprawdzie wystrój nie zdradza francuskiego sztyku, ale mieszcząca się w dawnym magazynie restauracja Les Halles to prawdziwa gratka dla miłośników francuskiej kuchni i wina.



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliźszych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

URODZINY SUŁTANA



FOT. ALCIA KUBIAK I JAN KURZELA

Termin naszego wyjazdu okazał się najlepszy z możliwych. W tym czasie sułtan Brunei świętuje swoje 71 urodziny. W ambasadzie tego państwa w Berlinie powiedzieli nam, że obchody są bardzo huczne, i to na terenie całego kraju. Postanowiliśmy je obejrzeć.



FOT. ALCIA KUBIAK I JAN KURZELA

Kuszące było też zobaczenie państwka, jednego z najmniejszych (5,8 tys. km²) i najbogatszych na świecie, które jako jedyne na Borneo nie wycięło swojej dżungli pod plantacje palm olejowych. Tutejszy sułtan ma takie dochody z ropy, że na dżungli zarabiać nie musi.

Przybyliśmy 13 lipca, dwa dni przed uroczystościami. Od przejścia granicznego do stolicy były jakieś trzy godziny jazdy autobusem.

Kraj ten jest rzeczywiście zupełnie inny od tych, które go otaczają. Przyglądaliśmy się gęstej roślinności, a także licznym szybom i odwiertom. Rzeczywiście – Brunei ropą stoi.

PRÓBA (PRAWIE) GENERALNA
Wjechaliśmy do stolicy, która podobnie jak inne mijane miasta świeciła pustkami. Na chodnikach nie było żywej duszy, a na

SPOJRZENIE WŁADCY

Poczet sztandarowej defilady urodzinowej na placu Taman Haji, w tle pododdziały przed uroczystościami. A ponad wszystkim spojrzenie władcy w galowym stroju. Na zdjęciu mniejszym – sułtan Brunei w swojej łoży w otoczeniu najwyższych dowódców wojskowych.



WYPOSAŻENIE NA DŁUGĄ OFICJAŁKĘ
Członkowie rodziny królewskiej opuszczający plac po uroczystościach. Widoczne wyposażenie na długą oficjałkę to: parasol, komórka i woda mineralna.

ulicach tylko samochody dobrych marek, żadnych hałaśliwych motorków czy riks. Cisza i spokój. Jedno zwróciło naszą uwagę: na każdym sklepie, restauracji czy innych uczęszczanych budynkach wisiały żółte, prostokątne banery. Napisy na nich były dwujęzyczne: po arabsku i po angielsku. Informowały, że 15 lipca 2017 r., lub według kalendarza arabskiego 21 Syawal 1438 r., odbędą się uroczyste obchody 71 urodzin sułtana. Data arabska była trochę dziwna. Co prawda wiedzieliśmy, że kalendarz miejscowy ma zupełnie inne daty, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć.

14 lipca rano zupełnie przypadkiem trafiliśmy na generalną, tak nam się wtedy wydawało, próbę. Swobodnie weszliśmy na plac, na którym deflowały pododdziały

wojska i policji. Przyglądaliśmy się z zainteresowaniem przygotowaniom. Nie niepokojeni przez nikogo podeszliśmy do trybuny głównej, na której następnego dnia miał zasiadać sam sułtan. Tyle tylko, że kiedy tam doszliśmy, próby się kończyły. Obejrzelśmy więc 15 minut zakończenia.

Z jednej strony nawet dobrze, bo przynajmniej następnego dnia będziemy oglądać uroczystości z większym zainteresowaniem. Wiedzieliśmy, że zaczynają się o godzinie 9 rano. Reszta była dla nas jeszcze tajemnicą. Żeby ją rozwiązać, podeszliśmy do grupy wojskowych stojących pod trybuną i zapytaliśmy o plan obchodów. Panowie byli bardzo mili i odpowiadali na pytania. Powiedzieli też, o której godzinie najlepiej się pojawić, gdzie stanąć i którędy będzie wjeżdżał sułtan. Byliśmy usatysfakcjonowani – może rozmawialiśmy z ważniejszymi ludźmi w państwie, nawet ze swiątą samego monarchy?

Aby wszystko poszło gładko, robiono wiele prób, my – jak się później dowiedzieliśmy – widzieliśmy ostatnią. Próba generalna odbyła się już wcześniej, 12 lipca, a jej uczestnicy byli wtedy w mundurach galowych.

NIECH ŻYJE KRÓLI!

Główne ulice miasta zostały zamknięte o 7.00. Robiono to w ulewnym deszczu. Padać zaczęło jeszcze w nocy i nic nie wskazywało, żeby zechciało przestać. Cóż było robić, sztywny indonezyjski płaszcz przeciwdeszczowy czekał na swoją próbę niezawodności. Aparaty i obiektywy też miały pokrowce. Uroczystości nikt nie zamierzał przekładać. Ruszyliśmy zwarci i gotowi.

Wzdłuż zamkniętych ulic dochodzących do placu stało wielu uczniów, podobno 6 tys., którzy dumnie machali miniaturowymi flagami Brunei. Kilkuset z nich grało na tzw. hadrach, czymś na wzór tamburynów. Wybijali równy, jednostajny rytm. Wszyscy byli dumni i roześmiani, pomimo padającego deszczu.

Uroczystości rozpoczęły się od hymnu narodowego i salw honorowych. Następnie Jego Wysokość, 29. Sułtan Haji Hassanal Bolkiah Mu'izzaddin Waddaulah ibni Al-Marhum Sultan Haji Omar Ali Saifuddien Sa'adul Khairi Waddien, Sułtan i Yang Di-Pertuan

Brunei Darussalam, przyjmował tradycyjną paradę na placu Taman Haji Sir Muda Omar 'Ali Saifuddien. Wydarzenie było bardzo widowiskowe i kolorowe. Trwało 45 minut. Udział w nim brały wszystkie najważniejsze osoby w państwie oraz członkowie rodziny królewskiej. Paradą dowodził podpułkownik

Kompania Militarna, i RBP – Kobiety Siły Policyjne. Panie stały obok mężczyzn w jednym szeregu. Jak na kraj muzułmański, jakim jest Brunei, było to coś niezwykłego.

Na zakończenie uroczystości uczestnicy, zwróceniu w stronę sułtana, powitali go potrójnym okrzykiem: – *Daulat!*, oznaczającym



Aldi bin Haji Hassan, jak się okazało, jeden z naszych wczorajszych rozmówców.

Nie sposób oczywiście wymienić wszystkich, którzy byli tam zawodowo, jak na przykład mnóstwo pracowników ochrony, policjantów i wojskowych. W paradzie wzięły udział 1244 osoby z RBLF, czyli Królewskich Sił Lądowych, RBN – Królewskiej Marynarki Wojennej, RBAirF – Królewskich Sił Lotniczych, a także wielu przedstawicieli rządu. W tym roku na paradzie była absolutna nowość, a mianowicie RBAF, czyli Kobieta

„Niech żyje król!”. Następnie na niebie pojawiły się siły Królewskiej Floty Powietrznej. Narobiły ogromnego hałasu i odleciały.

Sułtan opuszczał plac jednym ze swoich aut, i nie było to bynajmniej złote ferrari, lecz czarny rolls-royce. Cały orszak dostojnie i powoli wyjeżdżał, radośnie żegnany przez tłum ludzi zebrany przed placem. Na długo po zniknięciu ostatniego pojazdu było jeszcze słyhać rozlegający się dźwięk tamburynów, a ulice zostały otwarte dla ruchu jakieś pół godziny później.

KREWNI ORAZ ZNAJOMI SUŁTANA

Najbliżsi współpracownicy, krewni oraz znajomi sułtana w loży honorowej.

W POGOTOWIU

Oddziały wojska i policji
gotowe do przemaszu.



FOT. ALIJA KUBIAK | JAN K. RZAJA

JUŻ PO WSZYSTKIM

Samochód z insygniami królewskimi – złotą tarczą i złotą włócznią, opuszcza plac Taman Haji. Eskortuje je asysta honorowa policji (zdjęcie na sąsiedniej stronie).

DWA TYGODNIE ŚWIĘTOWANIA

Nie był to jednak koniec obchodów. Wszyscy Brunejczycy oczekiwali jeszcze najważniejszego punktu dnia, a mianowicie urodzinowego *tita*, czyli przemowy władcy. Dotyczy ona zazwyczaj spraw politycznych i postępu, jakie robi państwo. Jest też omawiany rozwój

społeczno-ekonomiczny kraju oraz jego dobrobyt. Na koniec sułtan porusza temat przyszłości państwa.

Po przyjęciu defilady władca Brunei udał się do pałacu. Tutaj nastąpiły uroczystości wręczania medali i odznaczeń, które otrzymało 35 osób. W pałacu Istana Nurul Iman odbył się także królewski bankiet, na którym było około 4 tys. gości. Od godziny 22 można było obserwować fantastyczne fajerwerki, tak ogromne i głośne, że huk ich odpalania przypominał dźwięk armaty. Były bajecznie kolorowe i układały się we wspaniałe kombinacje. Czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy!

Sztuczne ognie były uwieńczeniem dnia 15 lipca, lecz także rozpoczęciem dwutygodniowego okresu

świętowania urodzin sułtana. W miastach odbywały się liczne festyny, pokazy i zawody. Już 16 lipca minister finansów przeprowadził modłom w związku ze świętowaniem urodzin. Przez 14 dni sułtan jeździł po kraju i spotykał się z mieszkańcami. Najpierw pojechał do dystryktu Tutong. W gazetach i telewizji



FOT. ALCJA KUBIAK I JAN KURZELA

od dwóch dni mówili o tym, jak Tutong przygotowuje się do powitania władcy...

Ogólnokrajowe obchody zakończyły się 31 lipca 2017 r. Wtedy też życie Brunei powróciło do prozaicznej, bogatej normy tego kraju. Do następnych urodzin sułtana. ○



Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



FOT. ALCJA KUBIAK I JAN KURZELA



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

Pasjonaci, autorzy książek podróżniczych. Wędrują bezdrożami i starają się docierać w trudno dostępne tereny. Niedawno wrócili z Papui Zachodniej.



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

CZAS NA MAZURY

Mazury to region rozległy i różnorodny. Często zapomniana i pomijana Warmia to również skarbnica niezwykle pięknych i spokojnych miejsc. Kiedy liście na drzewach robią się kolorowe, poranki rześkie, a na taflach jezior króluje tylko wiatr, Mazury przedstawiają się od najlepszej strony.

Listopad to bardzo dobry moment na podróż po Mazurach. Jedynym minusem jest krótki dzień, ale długie wieczory można wykorzystać na planowanie kolejnych podróży albo po prostu wsłuchać się w jesienny, listopadowy spokój za oknem. Jak zwiedzać ten region?

Po pierwsze, trzeba mieć bazę. O to na szczęście nietrudno, choć zdecydowana

większość miejsc jest sezonowa. Dotyczy to szczególnie restauracji i barów nad jeziorami. Jesienią warto wybrać coś przytulnego, co pozwoli na zasłużony odpoczynek po dniu pełnym wrażeń. Punktem wypadowym, który wybieram najczęściej, jest Kadzidłowo. Ponieważ jest znane głównie z Parku Dzikich Zwierząt, to uwagę może umknąć ukryta pośród drzew Oberża pod Psem. Ze wszystkich

stron prowadzą tu polne drogi. O gości dbają państwo Worobcowie, którzy jako jedni z pierwszy na Mazurach ze swojej agroturystyki uczynili obiekt całoroczny.

Kadzidłowo leży na skraju Puszczy Piskiej i jest idealną bazą wypadową do odkrywania mało znanych terenów. Również do Krainy Wielkich Jezior Mazurskich jest stąd niedaleko. Uwielbiam Niedźwiedzi Róg i przedzieranie się później bocznymi drogami do Węgorzewa. W ten sposób można się zapuścić w niezwykle miejsca, o których nie wspominają przewodniki. Kiedyś polnymi drogami dotarłem do miejscowości Doba. To piękny, cichy zakątek. Spacer nad jeziorem pośród szumu tataraku to coś niesamowitego. Po drodze zatrzymałem się też w Dziewiszewie. Znalazłem tam malownicze jeziorko pośród mazurskich pagórków. Podróż kończę zawsze na półwyspie w miejscowości Kal. Można tam spacerować pomiędzy dwoma jeziorami – Mamry i Święcajty.

W drodze powrotnej można odbić w Giżycku na boczną drogę nr 656 do Elku.





FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Znam jeden wystarczający powód, żeby odwiedzić to miasto – pub Smętek i chyba najlepsza pizza w okolicy. Do tego we wnętrzu panuje klimat prawdziwego pubu. Nic dziwnego, skoro jego właściciel na statkach zwiedził niemal cały świat, żeby w końcu zakotwiczyć w Elku. To właśnie tu, nad jeziorem, postanowił stworzyć miejsce ze swoich marzeń. Zazwyczaj podczas czekania na pizzę zabieram się za liczenie butelek na suficie – jest ich prawie 1500, a kolekcja stale się powiększa.

To chyba właśnie na Mazurach można ujrzeć najbardziej kolorową jesień.

W Kadzidłowie obowiązkowa jest wizyta w leśniczówce Pranie. Znajduje się tam położone nad samym jeziorem muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Można podziwiać miejsca, które były inspiracją dla poety, a po drodze zajrzeć do dość specyficznego miasteczka, jakim jest Ruciane-Nida. Betonowe bloki mieszają się tu z drewnianą, przedwojenną zabudową, a to wszystko nad brzegiem malowniczego jeziora.

Ci, którzy lubią zabytki, też będą zadowoleni. Powinni koniecznie zaplanować sobie pobyt w dworze w Jełmuniu.

Oddana całym sercem pani Barbara odbudowała nie tylko sam budynek. Tchnęła w te mury życie, klimat, jaki panował tu przed laty. Z dbałością o każdy detal stworzyła miejsce, które z jednej strony jest ekskluzywne, ale z drugiej przytulne. Dojście nad jezioro zajmuje minutę, a później godzinami można spacerować. Z pewnością warto również udać się do pobliskiego Reszla. To piękne, gotyckie miasto, aż wydaje się, że nie pasuje surowym charakterem do lekkości otaczających go pól. Spacer pośród malowniczych uliczek czy zwiedzanie zamku przypadnie do gustu wszystkim odkrywcom historii. Tuż obok można odwiedzić sanktuarium maryjne w Świętej Lipce, a z tych okolic również malowniczymi drogami udać się przez Kętrzyn do Węgorzewa, ale będzie to zdecydowanie dłuższa wycieczka. Z Jełmunia niedaleko jest również do Mikołajek czy Olsztyna, ale to zupełnie inny kaliber – wolę delektować się mazursko-warmińską ciszą. ○



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

Wyspa słynie z wiary w elfy, a jaskinie, wzniesienia i wyrzeźbione lodem skały uruchamiają wyobraźnię. I choć za stolicę elfów uznaje się Hafnarfjörður, to w Grundarfjörður, u podnóża góry Kirkjufell, podobno przeznaczono dla nich kilka działek budowlanych.

Michał Klima

KRAINA ŻYWIOŁÓW

Czego nie ma na Islandii? Bezwietrznych poranków, ciepłych nocy, stabilnej pogody i temperatury. Nie ma też powtarzalności, przewidywalności ani nudy. Islandia to kraina ognia, lodu, wiatru i... ogromnego zaskoczenia.



Fjaðrárgljúfur to jeden z najbardziej malowniczych kanionów Europy, głęboki na 100 m i długi na 2 km, wydrążony wodą, która tysiącami lat spływa z lodowców. Można go przemierzać zarówno górą, jak i dołem. Z każdej perspektywy wrażenia gwarantowane.





Na Islandii znajduje się największa na świecie, dziesięciomilionowa populacja maskonurów. Ptaki wdzięcznie przechadzają się po stromych klifach i pozują do zdjęć. Islandczycy wierzą, że maskonury to pośmiertna postać marynarzy, którzy zginęli na morzu.



W Látrabjarg wszystko jest „naj”. Najdalej wysunięty na zachód punkt Europy, największy klif Islandii i największe skupisko lęgowe maskonurów. To także najbardziej wietrzna ze wszystkich islandzkich atrakcji turystycznych. Ale też jedna z najpiękniejszych.





Goðafoss (Wodospad Bogów), który nazwę zawdzięcza przyjęciu chrześcijaństwa przez Islandczyków w 1000 r., znajduje się na północy kraju. Ma 12 m wysokości i 30 m szerokości, i zamyka wody lodowcowe w półpierszcieniu często uzupełnianym tęczą.

Linia brzegowa wyspy jest bogato oznaczona latarniami. Ich światło na przestrzeni wieków pełniło wyjątkową rolę, wskazywało ludziom morza najważniejszą drogę – do domu.





Koń islandzki występuje tylko tu, gatunek jest obwarowany prawnymi rygorami – każda podróż poza wyspę zamyka drogę powrotu.

Monumentalne kaniony, potężne wodospady i surowy krajobraz przypominają o tym, że natura rządzi się swoimi prawami i dyktuje warunki, które trzeba zaakceptować.



Ogromne, błękitne i turkusowe bryły lodu powstają w wyniku pracy lodowca i pochłaniają kolejne oddzielające się od niego partie. Jökulsárlón – laguna lodowcowa z topniejącego lodowca Vatnajökull – potrafi zamrozić w bezruchu i zachwycie.



Michał Klima

Filozof z wykształcenia, podróżnik i fotograf z pasji. Odwiedził 36 państw przejechawszy ponad 50 tys. km swoim 14-letnim kombi. O podróżowaniu pisze na blogu www.team-from.pl

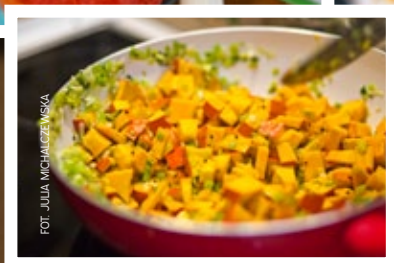
Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Wszelkiego rodzaju pierożki to uzbecka specjalność. Samsy to powszechny element kuchni środkowoazjatyckiej. Niektóre są wypełnione siekaną baraniną z cebulą lub wiosenną zieleniną ze świeżym serem. Najrzadziej spotykaną odmianą jest samsa z dynią, tworzona prawie wyłącznie w domowych kuchniach uzbeckich.



🕒 3 GODZ. 👥 6 OSÓB

SAMSA UZBECKA Z DYNIĄ I POREM

🍳 SKŁADNIKI:

Ciasto:

- 1 kg mąki
- 2 szklanki letniej wody
- 2 łyżeczki soli
- 2 łyżki kefiru
- 100 g masła

Farsz:

- 1 kg dyni
- 1 duży por
- 2 ząbki czosnku
- 1 łyżeczka czarnuszki

Glazura:

- 1 jajko
- 2 łyżki kefiru
- nasiona czarnuszki

🍳 Na podgrzanej oliwie podsmażyć czarnuszkę, dodać posiekanego pora oraz czosnek. Gdy por zacznie się robić przezroczysty, dorzucić drobno pokrojoną dynię. Smażyć do zmięknięcia. Mąkę, wodę, kefir i sól połączyć i wyrobić gładkie ciasto. Odstawić na 15 min pod przykryciem. Wyrobione ciasto podzielić na trzy równe kule. Roztopić w garnku masło. Każdą kulkę z osobna rozwałkować na cienko i na płaskim cieście rozprowadzić dwie łyżki roztopionego masła. Następnie zwinąć ciasto w długą, bardzo cienką rolkę. Na drugie rozwałkowane wcześniej ciasto położyć to zwinięte i zrolować, by powstała większa rolka. Czynność powtórzyć z trzecim rozwałkowanym ciastem. Całość przykryć i włożyć na 30 min do lodówki.

Po wyjęciu ugnieść lekko, aby rolka stała się dłuższa i ciaśniejsza. Pokroić na 2 cm kawałeczki, a każdy rozwałkować na kształt okręgu, tak by spirala zawsze znajdowała się u góry. Następnie na każdym kawałku położyć farsz i skleić krawędziami u góry, aby całość tworzyła trójkąt. Samsy rozłożyć złączeniami do dołu na pergaminie, a wierzch posmarować glazurą i posypać czarnuszką. Piec przez 30 min w piekarniku rozgrzanym do 220°C.



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI
Anna Szczęsna

FOT. JAJUNG GAO - WIKIPEDIA

TRZY GARŚCIE ZIEMI

Już w bitwie pod Grunwaldem brali udział po stronie polskiej. Tworzyli zwinne, szybkie oddziały, które zręcznie walczyły. To właśnie od nich przejęliśmy chlubne tradycje ułańskie i... rogatywkę – symbol polskiego munduru wojskowego. Henryk Sienkiewicz, Magdalena Abakanowicz, Charles Bronson to tylko niektórzy sławni potomkowie tej społeczności. Tatarzy to lud turecki pochodzący z rejonów Syberii i Mongolii. Od setek lat mieszkają w Polsce, gdzie kultywują swoje tradycje. Podobno nawet milion Polaków może mieć domieszkę tatarskiej krwi.

Jestem na mizarze (cmentarzu tatarskim) w Kruszynianach. To mała wioska leżąca na Podlasiu, blisko granicy białoruskiej. Tutaj od ponad trzystu lat mieszkają polscy Tatarzy, a właściwie: Polacy tatarskiego pochodzenia, jak sami dumnie podkreślają. Mimo że wyznają islam, ich kultura zawiera też elementy chrześcijańskie, pogańskie i nieco dawnych wierzeń tureckich ludów koczowniczych. Z biegiem lat przejęli również wiele

naszych zwyczajów, ale nie obchodzą ani Wszystkich Świętych, ani Zaduszek. Zgodnie z tradycją islamu za zmarłych modlą się kilka razy w roku, zawsze po muzulmańskich świątach. To wtedy sprzątają groby i odwiedzają mizary, gdzie nad mogiłami odczytują wersety z Koranu poświęcone zmarłym. Podczas modlitwy każdy z rodziny kładzie prawą rękę na grobie przodka i wypowiada imię jego matki (w tradycji tatarskiej matka jest

najważniejsza) na znak, że wszyscy się kiedyś spotkają.

Przeważnie cmentarze tatarskie są usytuowane na wzniesieniach i otoczone niewielkim kamiennym murem. Według zasad islamu mogiły powinny być ułożone w regularne rzędy zwane safami i obłożone polnymi kamieniami w ten sposób, aby największy spoczywał przy głowie zmarłego, a najmniejszy – u jego stóp. Dawniej mogiły tatarskie były

skromne, bezimienne. Z wieku na wiek stawały się coraz okazalsze. Teraz są podobne do pomników na cmentarzach katolickich czy prawosławnych. Wykonuje się je z wysokiej jakości kamieni, zdobi kwiatami, a prawie każdy wieńczy tablica inskrypcyjna, na której żłobi się półksiężyc i gwiazdę oraz wersety Koranu, a także – datę śmierci zmarłego oraz imię jego matki. Na niektórych mogiłach widnieją nawet fotografie, co jest odstępstwem od zasad islamu. Chrześcijańskie otoczenie wywarło pewne zmiany w zwyczajach Tatarów. Do dziś jednak nie stawiają oni na grobach zniczy. Ogień dał im sam Bóg i nie nadużywają tego symbolu.

Jak objaśnia przewodnik, wszelkie ceremonie, w tym żałobne, odbywają się poza meczetem. Do umierającego muzułmanina przybywa duchowny, który odmawia nad nim krótkie modlitwy – imany. Po śmierci rodzina zamyka zmarłemu oczy i układa go na marach zwanych tabut. Na nich dokonuje się rytualnego obmycia zwłok, czyli guślu. Mężczyznę obmywa krewny płci męskiej, a kobietę – kobieta. W trakcie guślu odmawia się specjalne modlitwy. Następnie do nosa i uszu zmarłego wkłada się watę, a całe ciało zawija w białe płótno o długości 13 m, zwane sawan. Przy nogach i głowie układa się teksty modlitwy – daławary, a ciało przykrywa się zielonym bądź czarnym sukniem, na którym jest wyszyte imię i nazwisko oraz data śmierci zmarłego. Później czuwa się przy nim na modlitwie przez całą noc.



Przed odwiezieniem zwłok na cmentarz następuje najważniejszy moment obrzędów pogrzebowych. Po obu stronach marzasiadają rzędem muzułmanie i odczytują fragmenty Koranu – przejmują w ten sposób na siebie grzechy zmarłego. Zwyczaj ten nosi nazwę deur. Modlący się otrzymują sytę, czyli wodę z miodem, a obrzęd

kończy wspólne mycie rąk. Zebrani odśpiewują jasienie – modlitwy za duszę zmarłego. Następnie imam odmawia modlitwę zwaną dua, po której zgromadzeni przebaczą zmarłemu winy i orszak pogrzebowy rusza na mizar. Pochówki mają miejsce po południu, przed zachodem słońca. Na czele konduktu kroczy duchowny, za nim jedzie wóz ze zmarłym, który jest zwrócony głową do przodu. Z przewozem zwłok na cmentarz wiąże się pewne przesady. Jeśli idzie się w orszaku pogrzebowym, nie można przebiegać drogi czy zaglądać w okna, a imam nie może spoglądać za siebie. Wszystko po to, aby nie sprowadzić śmierci na wspólnotę. Z tego samego powodu, gdy przechodzi kondukt pogrzebowy, kobiety nie powinny wyglądać oknem. W tradycji tatarskiej kobiety, jako dające życie, w ogóle nie powinny brać udziału w tej części pogrzebu.

Na cmentarzu, nad grobem, mężczyźni stają w trzech rzędach, zwróceniem w kierunku Mekki, i odśpiewują z imamem wersety z Koranu. Następnie zmarły, w samym tylko płótnie, jest składany w grobie. Nad ciałem żałobnicy układają „daszek” z desek, niczym wieko trumny, a następnie rozpościerają nad mogiłą całun i odmawiają specjalną modlitwę. Nieboszczyk leży w grobie głową ku zachodowi, aby w dniu Sądu Ostatecznego mógł się skierować prosto na wschód. Tatarzy wierzą,



że do zmarłego przybywają wystannicy Allaha, aniołowie Munkir i Nekir. Dlatego grób musi być takiej głębokości, aby zmarły powitał ich na siedząco – jest to wierzenie zaczerpnięte ze zwyczajów Turków osmańskich. Następnie imam polewa grób wodą i nakazuje wszystkim oddalić się od niego. Sam przy nim pozostaje, modli się i udziela zmarłemu wskazówek. Na zakończenie odczytuje modlitwę zwaną tałkın i rozpoczyna zasypywanie mogiły, wrzucając do niej trzy garście ziemi. Każdy z obecnych także sypie po trzy garście, a na zakończenie wszyscy się modlą i rodzina zmarłego dzieli ofiarę – częstuje sadogą. Jeszcze przez czterdzieści dni po pogrzebie pali się świece i śpiewa jasienie. Przez ten czas wszystkie lustra i przedmioty błyszczące w domu są szczelnie zasłonięte. Po zakończeniu żałoby odbywa się stypa.

Na kruszyniańskim mizarze najlepiej widać, jak przez wieki stykały się losy mieszkańców tej ziemi. Wyrte na nagrobkach orientalne imiona: Aisza, Aladyn, Emir łączą się z polskimi nazwiskami. W ojczystej ziemi polscy Tatarzy spoczywają pod znakiem półksiężyca. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.



BIEGANIE W NOCY

OŚWIETLENIE DO NOCNEGO BIEGANIA – PORADY PETZL

Bieganie w nocy ma inny wymiar. To zupełnie inny świat z fizycznego i psychicznego punktu widzenia, jak również ze względu na odbierane bodźce. Widzimy ten świat przez wiązkę światła latarki czołowej. Wybór odpowiedniego oświetlenia jest kluczowy, by zachować bezpieczeństwo, biec skutecznie, ograniczyć zmęczenie oczu i zarządzać zapasem sił. Oto kilka wskazówek, jak najlepiej oświetlić swoją trasę w nocy.

PORADA 1: WYBÓR TYPU LATARKI CZOŁOWEJ



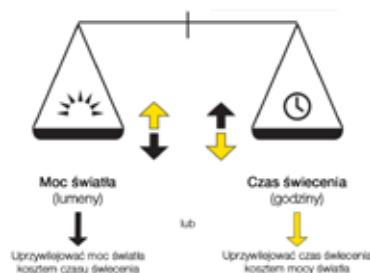
Istnieją dwa typy latarek czołowych:

- Latarki czołowe z akumulatorem znajdującym się tyłu głowy. Są mocniejsze i dłużej świecą ze względu na dużą pojemność akumulatora.
- Uniwersalne latarki czołowe „wszystko w jednym”, których cały ciężar jest z przodu.

PORADA 2: ZNALEŹĆ KOMPROMIS MIĘDZY SIŁĄ ŚWIATŁA A CZASEM ŚWIECENIA

Dzięki mocniejszemu światłu lepiej widzimy w terenie, co pozwala na większą swobodę

i pewność siebie, a dzięki temu szybszy bieg. Dodatkowym atutem jest mniejsze zmęczenie. Ale uwaga: im latarka czołowa jest mocniejsza, tym jej czas świecenia jest krótszy. Moc światła latarki czołowej jest ściśle związana z czasem jej świecenia. Te dwa parametry są nierozdzielnie związane ze sobą, niezależnie od użytej technologii oświetlenia.

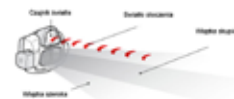


Technologia REACTIVE LIGHTING

Inteligentne oświetlenie REACTIVE LIGHTING to rewolucja w latarkach czołowych.

Dzięki tej unikalnej technologii, opracowanej przez Petzl, latarka czołowa dostosowuje automatycznie kształt wiązki światła i jej moc, co optymalizuje czas świecenia i redukuje do minimum manipulację przy latarce.

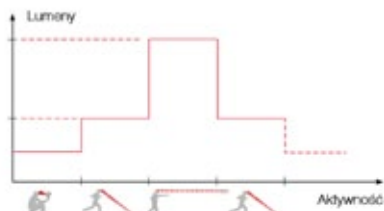
REACTIVE
LIGHTING
technology



W błyskawicznym dostosowywaniu oświetlenia czołówki pomaga czujnik światła, dzięki któremu automatycznie jest dobierany jeden z poniższych trybów w zależności od sytuacji: – **Oświetlenie bliskiego zasięgu.** Gdy się patrzy na obiekt z bliska, np. sprawdza mapę, robi węzeł czy rozkłada namiot, wiązka jest bardzo szeroka i ma niewielką moc. Oświetlenie zmienia się automatycznie w zależności od odległości od obiektu.

- **Oświetlenie do przemieszczania się.** Gdy patrzy się przed siebie, np. podczas marszu czy biegu, wiązka staje się szeroka i ma średnią moc – wystarczającą do zidentyfikowania przeszkód na drodze.
- **Oświetlenie dalekiego zasięgu.** Gdy podnosi się głowę, by spojrzeć na obiekt znajdujący się w dużej odległości, np. stanowisko albo marker, ilość światła znacznie się zwiększa, a wiązka zmienia kształt na skupiony.

Wydłużony czas świecenia. Technologia REACTIVE LIGHTING wydłuża czas świecenia dzięki optymalnemu wykorzystaniu akumulatora. Ponieważ światło jest dostosowywane do potrzeb, zostaje zmniejszone użycie mocnego oświetlenia, które szybko zużywa energię.



Rys. Zależność mocy światła od jasności otoczenia

Oświetlenie nieabsorbujące rąk dla większej skuteczności i wygody. Latarki czołowe z tą technologią są szczególnie dostosowane do intensywnych, wymagających sportów: nie trzeba już ręcznie zmieniać trybów światła. Użytkownik ma wolne ręce, a umysł skoncentrowany wyłącznie na aktywności. Technologia ta jest dostępna w latarkach Petzl z serii PERFORMANCE.



Aplikacja MyPetzl Light

Mobilna aplikacja MyPetzl Light umożliwia sterowanie światłem latarek czołowych REACTIK + i NAO + bezpośrednio ze smartfona lub tabletu. Udostępnia informacje o stanie

latarki – poziom naładowania baterii, pozostały czas świecenia, aktualnie aktywny profil – i umożliwia zarządzanie tymi parametrami w czasie rzeczywistym. Ma pięć predefiniowanych profili dostosowanych do wybranych aktywności (uniwersalny, bieganie, alpinizm, trekking, podróże) lub umożliwia stosowanie własnych ustawień. Aplikacja pozwala też wezwać pomoc przez konwersję SMS-a na ratunkowy sygnał świetlny nadany alfabetem Morse'a. Minimalne zużycie baterii dzięki Bluetooth® Smart.

PORADA 3: WYBÓR ŹRÓDŁA ZASILANIA – BATERIE CZY AKUMULATOR?



Do okazjonalnego użycia latarki czołowej najlepszym źródłem zasilania są zwykłe baterie:

- nie rozładowują się, działają nawet wtedy, gdy czołówka nie była używana przez długi czas,
- można je długo przechowywać.



Do regularnego albo częstego użycia lepiej jest wybrać czołówkę z akumulatorem:

- łatwe ładowanie przez USB,
- ekonomiczne rozwiązanie w czasie,
- akumulator litowo-jonowy: ma niewielkie samorozładowanie i dobrze działa w niskich temperaturach.



Aby umożliwić użytkownikowi wybór zasilania odpowiedni do jego potrzeb, Petzl opracował HYBRID CONCEPT. Dzięki tej konstrukcji w kompaktowych latarkach czołowych Petzl można użyć zarówno akumulatora CORE, jak i 3 baterii AAA, bez konieczności stosowania przejściówki. Praktyczne i elastyczne rozwiązanie, by korzystać z zalet obydwu źródeł zasilania w zależności od zastosowania.

PORADA 4: DOBRE NAWYKI

Kilka porad, by bieg był przyjemny i bezpieczny:

- Podczas podbiegów przełącz latarkę na tryb ekonomiczny, by oszczędzać energię.

- Podczas szybkiego zbiegu zwiększ jasność latarki do trybu maksymalnego, by lepiej widzieć teren i rozwidlenia trasy.
- Pamiętaj o zapasowych bateriach lub akumulatorach.
- Nie zapomnij o zapasowej, awaryjnej latarce czołowej. Stanowi ona element bezpieczeństwa w sytuacji, gdyby główna latarka czołowa się zepsuła.

PORADA 5: KTÓRA CZOŁÓWKA JEST ODPOWIEDNIA DLA CIEBIE?

Bieganie regularne: Latarki czołowe z serii PERFORMANCE (Reactik, Nao) są idealne. Zapewniają bardzo mocne oświetlenie i technologię REACTIVE LIGHTING.

Bieganie okazjonalne: Tutaj sprawdzą się lepiej latarki czołowe z serii ACTIVE (Actik Core, Actik, Myo). Mają niewielkie rozmiary i zapewniają wygodne oświetlenie.

Oświetlenie zapasowe: W tej roli najlepiej sprawdzą się latarki z serii CLASSIC (Tikka, Zipka, Tikkina, E+Lite) – są bardzo lekkie, nie czuje się ich ciężaru w plecaku.



© PETZL / MARC DAVIET

Więcej o latarkach czołowych Petzl: www.amc.com.pl
Źródło: www.petzl.com

Gdy zimno i ciemno

Jesień już w pełni, a w wysokich górach panuje zima. Trzeba być przygotowanym na zmienne warunki atmosferyczne i zapewnić odpowiednią termikę ciała. Pamiętajmy też, że dzień jest bardzo krótki, zatem bez oświetlenia nie wybieramy się na wycieczki.

NAWET NA EKSTREMALNE WYPRAWY DEVOLD GOLF EXPEDITION

Sztandarowy produkt norweskiego producenta, specjalisty w dziedzinie bielizny i odzieży na ekstremalnie mroźne warunki. Specjalna struktura dwuwarstwowego materiału o gramaturze 235 g/m² sprawia, że jest to najcieplejsza bielizna na rynku. Wewnętrzna warstwa przylegająca do ciała jest wykonana z wełny merino, zewnętrzna zaś ma domieszkę 10% materiału syntetycznego, żeby uzyskać maksymalną trwałość – to produkt używany w naprawdę trudnych warunkach. Wysoki golf chroni szyję, a zamek dodaje wszechstronności. Przedłużone mankiety są wyposażone w otwór na kciuk. Liv Arnesen, pierwsza kobieta, która samotnie dotarła na biegun południowy, używała pierwowzoru serii Expedition.



Cena: ok. 370 zł
www.devold.pl

POREČNY I LEKKI PETZL RIDE

Ultralekki (tylko 240 g) i bardzo zwarty (45 cm) czekan RIDE jest idealnym towarzyszem do skialpinizmu lub turystyki lodowcowej. Jest wykonany ze stali hartowanej i aluminium 7075. Głowica została wykonana ze stali o takich samych parametrach jak w czekanach klasycznych. Ostrze zwiężające się do 3 mm i wygięte stylisko z fabrycznym karbowaniem dla dobrego uchwytu w ręce zapewniają dobre wbijanie. Ma skośny grot, co pozwala włożyć go do plecaka bez ryzyka jego uszkodzenia.



Cena: ok. 360 zł
www.amc.com.pl

NIEZAWODNA BLACK DIAMOND STORM

To czołówka o mocy 350 lumenów z technologią PowerTap, funkcją zapamiętywania ostatnio używanej jasności światła oraz wodoodpornością i pyłoszczelnością IP67. Sprawdzi się podczas każdej górskiej wędrowki. Czołówka, poza diodą Double Led emitującą białe światło, została wyposażona również w diodę Single Led ze światłem czerwonym, zielonym i niebieskim. Dodatkowym atutem jest płynna regulacja światła oraz tryb stroboskopowy. Waga czołówki wraz z bateriami to jedyne 110 g.



Cena: ok. 240 zł
www.cragssport.pl



hybrid
CONCEPT

NOWOŚĆ 2017
PETZL ACTIK CORE

Cena: ok. 205 zł
www.amc.com.pl

Wielowiązkowa i wszechstronna latarka czołowa z akumulatorem, o jasności 350 lumenów. Idealna do aktywności w terenie – alpinizmu, biegania, trekkingu, na biwak. Wyposażona w akumulator CORE (1250 mAh) ładowany przez USB. Technologia HYBRID CONCEPT pozwala na zamienne użycie akumulatora lub 3 baterii AAA, bez konieczności stosowania przejściówki. Dwie wiązki (szeroka lub mieszana) i kilka trybów oświetlenia. Czerwone światło nie zaburza nocnego widzenia ani nie oślepia użytkownika czy innych osób. Opaska z odbłaskowymi elementami widocznymi z daleka. Wyposażona w gwizdek przydatny w razie niebezpieczeństwa. Wodoodporność klasy IPX4.



Cena: ok. 1300 zł
www.victorinox.com/pl

ARCHITECTURE URBAN
VICTORINOX RATH

Victorinox zaprezentował nową kolekcję toreb Architecture Urban, która łączy funkcjonalność i najnowsze trendy. Dzięki zróżnicowanemu wzornictwu, możliwościom organizacji ich wnętrza oraz różnym wariantom noszenia sprawdzą się zarówno w podróży, jak i podczas spotkania biznesowego. Wodoodporne suwaki chronią zawartość torby przed działaniem czynników atmosferycznych, natomiast kieszenie wewnętrzne, z podszewką z diagonalu, doskonale nadają się do przechowywania najcenniejszych przedmiotów. Komfort podróży jest zwiększony przez program śledzenia bagażu Swiss Tracker, który zapewnia kompleksową, bezpłatną ochronę przed zagubieniem lub kradzieżą. Kolekcja jest objęta gwarancją 10+1, skuteczną również w przypadku uszkodzeń spowodowanych przez linie lotnicze, kolej czy taksówkę podczas pierwszego roku użytkowania. Prezentowany plecak to model Rath.

Cena: ok. 660 zł
niedajsieokrasc.pl



BEZPIECZNY BAGAŻ
PACSAFE VENTURES SAFE X22

Jest wielu producentów bagażu, tysiące marek na całym świecie, ale tylko jedna firma, która oferuje bezkompromisowe poczucie bezpieczeństwa w każdej podróży. Pacsafe w swoich produktach stosuje opatentowane technologie antykradzieżowe, by zapewnić komfort w każdej sytuacji. Pojemność 22 l.

CIEPŁA I DELIKATNA
BRUBECK EXTREME WOOL

Bielizna termoaktywna ze szlachetnej wełny merino o gramaturze 273 g/m² chroni przed wyziębieniem, a dzięki swojej funkcjonalności – także przed przegrzaniem. Zastosowanie dwuwarstwowej i bezszwowej konstrukcji pozwoliło uzyskać wyjątkowe właściwości termoregulacyjne oraz zapewnić doskonałe dopasowanie do sylwetki. Wełna jest miękka i niezwykle delikatna. Produkt ma właściwości antyalergiczne (nie powoduje uczuleń i podrażnień), oraz bakteriostatyczne (zapobiega powstawaniu nieprzyjemnych zapachów). Polecana do sportów zimowych lub aktywności w bardzo niskich temperaturach.



Cena: ok. 220 zł
www.brubeck.pl

X-FACTOR LITE I EVO II

W październiku eksplorowałem rowerowe ścieżki we włoskim regionie Trydent. Najpierw poznaliśmy dwa etapy nowego projektu w dolinie Val di Non o nazwie Tour de Non, a następnie przenieśliśmy się w rejon góry Paganella, gdzie wokół miejscowości Andalo oraz Molveno istnieje od kilku lat i dynamicznie się rozwija projekt Dolomity Paganella Bike. Takim wyjazdem okazja, żeby przetestować sprzęt czy ekwipunek rowerowy. Wybór padł na ochraniacze polskiej marki X-Factor.

Najważniejszym obszarem ciała, który powinniśmy chronić podczas jazdy na rowerze, zaraz po głowie, jest kręgosłup. Mało który plecak ma wbudowany ochraniacz. A jeśli nawet ma, to nie

zaszkodzi dodatkowe zabezpieczenie w postaci kamizelki czy zbroi. Testowany model kamizelki w rozmiarze S bardzo dobrze dopasował się do ciała. Jak podaje producent, pianka zwiększa elastyczność wraz ze wzrostem temperatury. Przejmuje ciepło ciała i dopasowuje się do jego kształtów, co zapewnia komfort użytkowania. Kamizelka jest lekka i wygodna. Ochraniacz znajduje się na plecach oraz w obszarze splotu słonecznego. Jest wykonany z inteligentnej pianki utwardzającej się przy uderzeniu. Na szczęście nie wypróbowałem tych właściwości.

Na elementach chroniących wspomniany obszar kręgosłupa i mostka jest siatka z codury o podwyższonej wytrzymałości. To zapewnia trwałość produktu nawet po kilku uderzeniach czy upadkach. Kamizelka ma także właściwości kompresyjne, co wspomaga pracę mięśni. Odczułem to wspomaganie – po 5 dniach jazdy na rowerze wciąż miałem siły. Oczywiście cała konstrukcja jest wykonana z oddychających, szybkoschnących, antybakteryjnych materiałów (przy temp. rzędu 18–22°C byłem tylko lekko spocony). Bez



Cena: ok. 300 zł
www.x-factor.pl

problemu również założyłem na kamizelkę koszulkę i bluzę. Na końcu kamizelki znajdują się silikonowe stopery, które zapewniają utrzymanie ochraniacza we właściwej pozycji. Tylko sporadycznie, np. po zejściu z wyciągu, musiałem go raz czy dwa poprawić.

Miejscowi, którzy używają światowych marek, byli pozytywnie zaskoczeni wykonaniem i wyglądem kamizelki. Warto nadmienić, że można ją prać w pralce, a ochraniacz jest zgodny z normą EN1621-2:2014 level 1.

Z kolei nakolanniki EVO II przetestowałem w pełni. Kilka wywrotek sprawdziło ich jakość i funkcjonalność. Dzięki niskiej wadze i wyprofilowanym ochraniaczom nakolanniki zapewniają niebywałą swobodę ruchów podczas jazdy – zarówno pod górę, jak i w dół. Oczywiście wiedząc, że czeka mnie na początku dnia długi podjazd, nie zakładałem ich lub tylko nakładałem na łydki. EVO II, jak wszystkie twarde ochraniacze, nieco krępuje ruch nogi przy długotrwałym kręceniu. Odczu-



FOT. X-FACTOR / TOMASZ PIĘTEK

wałem w nich komfort termiczny, który zapewniała tkanina transportująca wilgoć na zewnątrz. Różnica wysokości, jakie pokonywałem w ciągu dnia, była znaczna, a zatem i temperatura się zmieniała. Ani się w nich nie spociłem, ani nie zmarzłem. Nakolanniki również pod wpływem ciepła dopasowują się do użytkownika. Producent zadbał o to, aby odzież zewnętrzna ślizgała się po



FOT. X-FACTOR / TOMASZ PIĘTEK

ochraniaczu. To dzięki odpowiednim materiałom nośnym oraz specjalnej konstrukcji ochraniaczy *hard shell*.

Nie ryzykujemy, że odzież wewnętrzna zahaczy o ochraniacz, co w przypadku upadku przy dużej prędkości jest wręcz niebezpieczne. Na bokach ochraniacze mają wstawki z gąbki. To właśnie one ochroniły moją nogę przed skutkami wywrotki na szutrowej dojazdówce. Dzięki silikonowym paskom nakolanniki utrzymywały się na właściwym miejscu. W ciągu całoniedznej wycieczki musiałem je poprawić tylko 2–3 razy, mimo że mam wyjątkowo duży obwód uda. Zaliczyłem w nich również jeden konkretny upadek na sekcji

rock garden. Mimo kontaktu kolana z dużym kamieniem śladów po tym spotkaniu nie odczułem ani nie zobaczyłem. Konstrukcja jest wzmacniana kevlarem. Wkładka ochronna ma podwójną gęstość. Produkt spełnia normę EN 1621-1.

Wybór produktów X-Factor jest trafiony. W atrakcyjnej cenie otrzymujemy bardzo dobry produkt, który może konkurować ze światowymi markami (kosztujący niekiedy nawet dwa razy więcej). Jak w przypadku każdego ochraniacza ważne jest, aby przed zakupem je przymierzyć albo bardzo dobrze sprawdzić rozmiarówkę.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 200 zł
www.x-factor.pl

KEEN TARGHEE EXP MID WP

Jesień to dobry czas na test wysokich, lecz lekkich i wygodnych butów trekkingowych. Można je nosić zarówno w górach (raczej tych niższych), jak i w miejskim parku, a także używać ich na co dzień, choćby w chłodniejsze czy deszczowe dni. Model Targhee marki Keen sprawdziliśmy na kilku krótkich wycieczkach i spacerach. Te buty są uniwersalne.

Targhee przez lata stał się fundamentem kolekcji Trailhead. Jest synonimem trwałości, wytrzymałości i komfortu. Testowana para to nowy i ultrawytrzymały model Targhee EXP. Został przygotowany tak, aby sprawdzić się w każdych warunkach – na wymagającym szlaku (na trasie Szczyrk – Skrzyczne), lecz także na spacerze po ścieżkach parku Śląskiego.

Część środkowa buta jest zbudowana na piance EVA o podwójnej gęstości. Zapewnia to stopie komfort i poczucie miękkości. To również ułatwienie przy długim chodzeniu, gdyż dobra amortyzacja to mniej zmęczone stawy (skokowy czy kolanowy). Wzmocniona stabilizacja kostki, poprzez specjalną

konstrukcją górnej partii buta, zapewnia bezpieczeństwo w trudnym terenie. Buty mają wodoodporną i oddychającą membranę KEEN.DRY. Marka Keen stosuje ją w dużej części butów typu performance. Membrana o specjalnej molekularnej strukturze nie przepuszcza wody z zewnątrz i jednocześnie pozwala, aby wilgoć ze środka przedostawała się na zewnątrz buta, co sprawia, że stopa pozostaje sucha. Nie sprawdziłem butów podczas ulewy, ale przejście po lesie i łące tuż po opadach też stanowi wyzwanie dla wodoodporności. W przypadku Targhee EXP nie było żadnego problemu. Jedynym drobnym minusem może być liczba połączeń i szyci różnych warstw wierzchniego materiału, co utrudnia utrzymanie buta w czystości po użytkowaniu np. w błocie. Wkładki do butów KEEN są anatomiczne i dopasowują się do kształtu stopy – zapewniają idealne jej trzymanie w każdych warunkach. Każda z wkładek KEEN ma wydajny system wentylacji oraz żłobień zwiększających komfort chodzenia. Model ten ma również pro-

filowaną blokadę pięty, co docenimy choćby na stromych podejściach.

Keen Targhee EXP Mid WP to uniwersalne buty. Są wygodne, wodoodporne, dobrze wyglądają. Ich niska waga (1078 g) oraz podeszwa i wkładka zapewniają komfort i sprawiają, że nawet kilkugodzinne wycieczki spędzimy z uśmiechem na twarzy.

Producent zaleca zamawiać rozmiar o ½ większy od normalnego z uwagi na kształt i konstrukcję buta.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: 500 zł
www.keen.pl



Od Dziadów do Zaduszek

Zapalanie zniczy na grobach bliskich ma w Polsce długą tradycję. Przesilenie jesienne to ponury okres, gdy zamiera przyroda, a dni stają się krótkie i szare. Ten czas stanowił idealną porę dla zmarłych dusz, które według wierzeń miały powracać do swoich domów. Jednym z najważniejszych obrzędów jesieni były Dziady.

By ogrzać zmarznięte w zaświatach dusze oraz przegonić mrok, zapalano światła. Właśnie ten zwyczaj przetrwał do dziś w formie rozpalania zniczy. Na dusze czekano w domach rodzinnych, otwierano drzwi i okna, by mogły wejść. Najbliżsi przyrządzali dla zmarłych ulubione posiłki. Chciano w ten sposób zapewnić im spokój, a sobie przychyłość.

Staropolskie zwyczaje zakazywały w ten dzień wykonywania chaotycznych czynności. Nie wolno było gwałtownie wylewać wody, by nie utopić duszy, zakazane było uderzanie pięścią w stół, by nie uderzyć zmarłego, nie wolno było maglować, deptać kapusty oraz wymachiwać ostrymi narzędziami.

Zwyczaj Dziadów odnosi się także do wędrujących żebraków, których uważano za łączników świata żywych i umarłych, ze względu na ich ciągłe przemieszczanie się. Bogatsi gospodarze urządzali bale, na których karmiono i pojono żebraków. W zamian wędrowcy ofiarowali modlitwę na rzecz ich zmarłych przodków.

Dziady to wyjątkowa tradycja, która znalazła uznanie u Adama Mickiewicza. Poeta, zainspirowany magią obrzędu, postanowił napisać cykl dramatów.

TEKST: ALEKSANDRA CWIĘK





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



SUAZI – OSTATNIA MONARCHIA



BIRMA – CZAR CHINATOWN



USA – SAMOTNIE SZLAKIEM APPALACHÓW

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Julia Michalczewska
julia.michalczewska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofiak-Gawryjolek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kolpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.





ACTIK CORE

Baterie czy akumulator?
Ty wybierasz!

Kompaktowa, wielowiązkowa latarka czołowa z akumulatorem.

ACTIK CORE to lekka i mocna latarka czołowa z dwoma wiązkami światła, idealna do zastosowań outdoorowych. Dostarczona z akumulatorem CORE, a jednocześnie dzięki koncepcji Hybrid CONCEPT jest kompatybilna ze zwykłymi bateriami. Elastyczne rozwiązanie umożliwiające korzystanie z obydwu źródeł zasilania bez konieczności stosowania adaptera. 350 lumenów. www.petzl.com